



Grey Scale #13



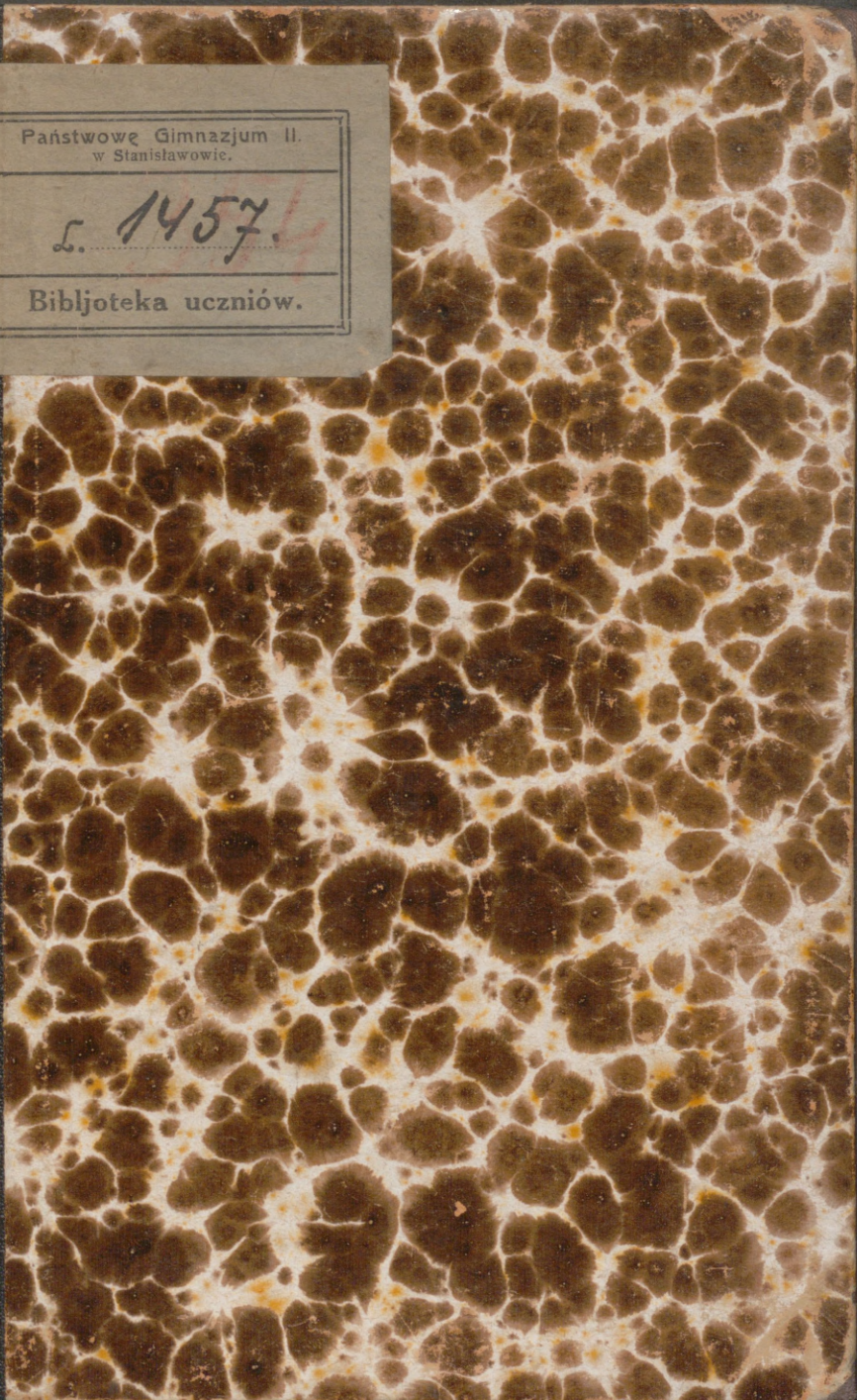
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Państwowe Gimnazjum II.
w Stanisławowie.

№. 1457.

Biblioteka uczniów.



Państwowe Gimnazjum II.
w Stanisławowie.

№ 1457.

Biblioteka uczniów.



TADEUSZ KOŚCIUSZKO

z portretu olejnego, malowanego z natury przez Cosway'a w r. 1798.

516

JÓZEF TRETIAK

FINIS POLONIAE!

HISTORJA LEGENDY MACIEJOWICKIEJ
I JEJ ROZWIĄZANIE

Skreślono!

4457

Skreślono
Biblioteka
uczniów
Stanisławów

Skreślono!

P. Nr. 137.
Dz. VII.

KRAKÓW 1921

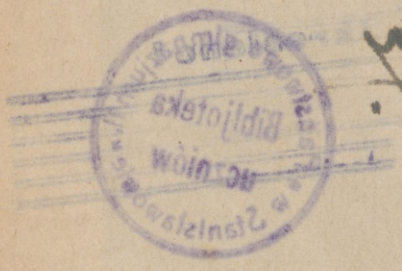
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

93(438) 8 : 92 (Kobusze)



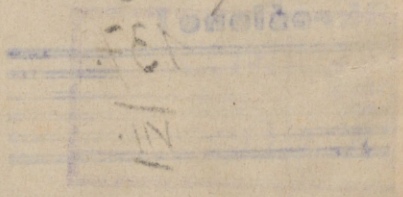
10686 / 1

Wszelkie prawa zastrzeżone.



1927

8-4



I.

Źródło legendy.

Legenda, opowiadająca, jakoby Kościuszko po klęsce pod Maciejowicami miał zawołać: *Finis Poloniae!* urodziła się bardzo prędko po bitwie maciejowickiej. Pierwszem jej źródłem drukowanym, o ile wiadomo, była urzędowa gazeta pruska: *Süd-preussische Zeitung*, która wychodziła w Poznaniu podczas powstania Kościuszkowskiego. W numerze 24 z r. 1794 podała ona wiadomość, że przyniesiony do głównej kwatery Fersena po bitwie Kościuszko miał wyrzec przy oddaniu pałaza: *Finis Poloniae!* Wiadomość tę powtórzyła zaraz dla użytku polskich czytelników *Gazeta południowo-pruska*, redagowana przez Przyjemskiego (z datą 24 października 1794)¹⁾. Gdzie i kiedy przybrała ta legenda nieco odmienne kształty, nie jest rzeczą dotychczas zbadaną. Wiemy tylko, że podług odmiennej od wyżej podanej wersji, Kościuszko miał zawołać: *Finis*

¹⁾ Zob. *Gazeta Narodowa* z 24 marca 1894, nr. jubileuszowy, w którym jest artykuł o *Finis Poloniae*, podpisany literą *p.* Stąd czerpię wiadomość o treści wskazanych numerów *Gazety południowo-pruskiej*. Numerów tych, pomimo usilnych starań, przy gorliwej pomocy dyr. Edw. Kuntzego, za którą mu tutaj wyrażam serdeczną wdzięczność, nie mogłem dotychczas odszukać w bibliotekach poznańskich.

Poloniae! nie przy oddawaniu pałasza zwycięzcy, ale padając ranny z konia. W tej czy innej formie, legenda miała to samo znaczenie i tę samą tendencję, a ta ostatnia wyraźnie wskazywała, skąd wyszedł pomysł i ku jakiemu zmierzał celowi. Nie można wątpić, że matką pomysłu tego była pruska polityka względem Polaków: chciano im zapomocą tej legendy wpoić przekonanie, że po upadku wodza, na którym pokładali największe nadzieje, nie mogą już rościć nigdy o niepodległości; chciano przygotować niejako naród polski i świat cały do tego, co już było ukartowane, do ostatecznego rozbioru Polski, który się też dokonał w roku następnym. Legenda miała być uświęceniem tego faktu, że Polska zniknęła z rzędu państw niezależnych, a to uświęcenie włożone było w usta najukochańszego z wodzów i naczelnika narodu.

Różnemi, mało dostrzegalnemi drogami szerzyła się ta legenda po Europie. Korzon w swojej obszernej monografji o Kościuszcze stwierdza, że już w r. 1797 pojawia się ona w Szwecji¹⁾. Zresztą mało na nią zwracano uwagi i głośną ona nie była, aż póki, około połowy XIX wieku, nie zaczęto z nią walczyć, pomimo całej jej, bijącej w oczy, niedorzeczności.

Toteż nowsi historycy polscy, którzy pisali o Kościuszcze, niewiele mieli kłopotu z wykazaniem niedorzeczności historycznej tej legendy. Bo jeżeli przyjmiemy wersję *Gazety południowo-pruskiej*, że Kościuszko wypowiedział słowa: *Finis Poloniae*, kiedy go kozacy rannego przynieśli na noszach z pik zrobionych do naczelnego wodza rosyjskiego, Fersena, i gdy on temu ostatniemu swój pałasz wręczał, to niedorzeczność tej wersji staje się widoczną wobec stwierdzonego zgodnie przez wielu najpoważniej-

¹⁾ *Kościuszko*, biografia z dokumentów wysnuta przez K. Kra-ków. Nakładem Muzeum Narodowego w Rapperswyłu. 1894. Str. 670.

szych naocznych świadków faktu, że przyniesiony przez kozaków do Fersena Kościuszko z rozciętą czaszką był nieprzytomny i bezmowny i nie odzyskał mowy i przytomności aż dopiero nazajutrz po nieszczęsnej bitwie, t. j. 11 października. Jednym z najświeższych i najsilniejszych dowodów tego faktu są »trzy zmięte kartki polskie« od Fiszera, adjutanta Kościuszki, razem z nim wziętego do niewoli pod Maciejowicami, pisane do generała Zajęczka w Warszawie w dniach 11, 12 i 15 października, to jest bezpośrednio po klęsce, a przytoczone przez Askenazego w jego artykule p. t. *Głos z Maciejowic w Tygodniku Ilustrowanym* z r. 1911, nr. 25. W pierwszej kartce czytamy: »O nieszczęśliwej bitwie wczorajszej już zapewne jesteście uwiadomiony WP. D. Naczelnik mocno cięty w głowę tak, że kość nadwreżona i prócz tego dwa razy spisa pchnięty«. A w drugiej, z 12 października, mamy jeszcze ważniejszą dla oceny legendy wiadomość: »Naczelnik przecie wczoraj znowu zaczął mówić. Rany jego odjęły mu były zupełnie przytomność¹⁾. Jeżeli zaś zwrócimy się do drugiej wersji, którą skodyfikował Georg Weber w swoim *Lehrbuch der Weltgeschichte* (II. Band, Leipzig 1870, str. 357), a podług której Kościuszko miał zawołać: *Finis Po-*

¹⁾ Prof. Askenazy powiada przy tej sposobności, że należy stosownie do powyższych wiadomości, podanych przez Fiszera, sprostować odpowiednie szczegóły dotyczące Kościuszki w *Notes sur ma captivité Niemcewicza i jego Pamiętnikach*. Ale właściwie pewna drobna niezgodność z kartkami Fiszera u Niemcewicza jest tylko w *Notes*, gdzie powiedziano: »Il (Kościuszko) avait une large blessure de sabre à la tête et trois coups de pique dans le dos, audessus des reins« (str. 23). W *Pamiętnikach czasów moich* (str. 226) jest mowa zgodnie z Fiszerem tylko o dwóch pchnięciach dżdż: »Kościuszko odniósł głębokie cięcie w głowę i dwie rany od dżdży powyżej bioder«. Co się tyczy odzyskania przytomności przez Kościuszkę dopiero nazajutrz po bitwie, w tem oba źródła Niemcewiczowskie zgodne są zupełnie z kartkami Fiszera.

loniae! padając ranny z konia, to, gdyby nawet przypuścić, że Kościuszko wbrew swojej naturze, tak niesклонnej do głośnych monologów, wydał ten okrzyk łaciński, jeszczeby niedorzeczność nie była mniejsza, bo ci, którzy go słyszeć mogli, to jest ścigający go kozacy, ani zrozumieć, ani powtórzyćby tego okrzyku nie potrafili.

Wspomniałem już, że w pierwszych latach po ukuciu tendencyjnej legendy nie zwracano na nią uwagi. Nie było racji zajmować się tą plotką i zbijać ją wobec szeregu dzieł poważnych, pisanych tak przez Polaków, jak i obcych, tak po niemiecku, jak po francusku, które szczegółowo podawały przebieg powstania Kościuszki, jak Wojdy (anonimowy): *Versuch einer Geschichte der letzten polnischen Revolution vom Jahr 1794* (Zürich 1796); Zajączka: *Histoire de la revolution de la Pologne en 1794 par un témoin oculaire* (Paris 1797); J. G. Seume'go: *Nachrichten über die Vorfälle in Polen 1794* (Lipsk 1796); *Der polnische Insurrektions-Krieg im J. 1794, von einem Augenzeugen dem Feldmarschall Möllendorf gewidmet* (Berlin 1796); wreszcie trzechtomowego dzieła Ségura, dającego obraz polityczny Europy od 1786 do 1796, które miało kilka wydań bardzo prędko po sobie następujących¹⁾. W żadnym z tych dzieł, niekiedy bardzo szczegółowych, nie było żadnej wzmianki o *Finis Poloniae*, o rzekomym wykrzykniku Kościuszki. Wroga dla Polski legenda nie wysuwała się na światło dzienne historii, czekając na lepsze dla siebie czasy, kiedy w mroku oddalenia historycznego

¹⁾ *Histoire des principaux événements du règne de F. Guillaume II, roi de Prusse et tableau politique de l'Europe depuis 1786 jusqu'en 1796, ou l'an 4 de la République, contenant un précis de revolutions de Brabant, de Hollande, de Pologne et de France — par L. P. Ségur l'ainé, ex-Ambassadeur, à Paris 1800.* Drugie wydanie ukazało się w r. 1801, trzecie w 1803--1810, czwarte pod tytułem *Décade historique* także w Paryżu, w r. 1824.

będzie mogła nabrać więcej prawdopodobieństwa i śmiałości. Dlatego to przez długie lata, do śmierci i po śmierci Kościuszki (1817), nie uważano za rzecz potrzebną wyciągać ją z ukrycia i zbijać. W jednym tylko fakcie z lat najbliższych urodzeniu się legendy można upatrywać chęć jej odparcia, a w szczególności chęć odparcia tendencji w niej zawartej. Mianowicie wyrazy: »Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy«, od których się zaczyna nieśmiertelny mazurek Dąbrowskiego, wyglądają tak, jak gdyby wywołane były słowami legendy maciejowickiej, jak gdyby były odruchowem jej odparciem. Pieśń ta, jak wiadomo, napisana była latem 1797, właśnie wtedy, kiedy legenda o *Finis Poloniae* zaczęła się milczkiem rozpełzać po Europie. Że o uszy autora pieśni, Wybickiego, oblała się ta legenda, zanim on swoją pieśń utworzył, to rzecz, zdaje się, niewątpliwa. A jeżeli tak było, jeżeli nasz przeszło stuletni hymn narodowy zostaje w związku genetycznym z legendą maciejowicką, to tem większego nabiera dla nas znaczenia, tem droższym się nam staje. Na sfalszowany przez Prusaków okrzyk: »Polska się skończyła!« wybuchnęły legjony żywiołowo okrzykiem: »Jeszcze Polska nie zginęła!«¹⁾ Na wrogą legendę odpowiedział ustami Wybickiego cały naród w swoich najdzielniejszych, duchem Kościuszkowskim przejętych przedstawicielach, a, co ważniejsza, słowom pieśni towarzyszyły czyny, które przyczyniły się do upadku potęgi pruskiej, do rezultatów bitwy pod Jena.

Wobec takiej odpowiedzi nie warto było polemizować z legendą maciejowicką i protestować przeciw niej.

¹⁾ Już Juljusz Michelet w swojej książeczce: *Pologne et Russie, légende de Kosciuszko* (Paris 1852) widzi w pieśni legjonów »le sublime démenti que nos légions polonaises donnèrent au mensonge des Russes: *Finis Poloniae*« (str. 95). Michelet źródło legendy upatrywał w Rosji.

Toteż ani myślano o tem i prawie przez całe pół wieku zostawiano ją w pokoju, jako rzecz bez znaczenia i nieszkodliwą.

II.

Słowacki i Mickiewicz wobec Kościuszki.

Jakże to się stało, że po wielu latach legenda odezwała się znowu i to głośniejsz niż przedtem, obudziła zaniepokojenie w duszach polskich i pobudziła do żywych protestów, ba, co gorzej, do fałszerstw patriotycznych? Wstępujemy na grunt faktów nieznanych, to jest ukrytych dotychczas przed okiem krytyki historycznej i literackiej, i tu zgóry możemy powiedzieć, że powodem do tego rozjarzenia się przygasłej legendy stała się nasza poezja w jednym ze swoich najznakomitszych przedstawicieli i jednym z najsłynniejszych swoich utworów. Tym poetą był Juliusz Słowacki, tym poematem *Beniowski*.

W tym poemacie, jak wiadomo, awanturnicza powieść z czasów konfederacji barskiej jest nieustannie przeplatana rozmaitemi lirycznymi wynurzeniami poety a przede wszystkim namiętnymi wycieczkami jego przeciwko wszystkim, którzy nie chcieli uznać jego sławy, takiej, do jakiej on sobie rościł prawo, to jest przynajmniej równej sławie Mickiewicza. Była to wielka bitwa o sławę, za zachętą Krasińskiego, który uznawał wielkość poetycką Słowackiego, wydana światu, temu światu, dla którego poezja jego mogła być dostępną, to jest emigracji polskiej. W tej walce wspierał go wrodzony jego pesymizm w stosunku do własnego narodu, tak słusznie uwydatniony przez Józefa Ujejskiego w jego rozprawach o *Kordjanie* i *Anhellim*, a tak biegunowo przeciwny optymizmowi Mickiewicza,

szczególne jako autora *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego*. I ten pesymizm i niepohamowana, niecierpliwa przez długi szereg lat niezaspokojona żądza sławy, złożyły się na szydery, w pogardliwym tonie nakreślony obraz emigracji, w którym ze wszystkich jej głównych przedstawicieli jedna tylko postać, księcia Adama Czartoryskiego, wyjęta była z ogólnego potępienia (podobnie jak w *Kordjanie* w ustępie p. t. *Przygotowanie*) i otoczona sympatją poety. Powiedziawszy, że nawet djabeł nie dba o pozyskanie emigracji, »i żadną serca żądzą już nie lechce«, tak pisał dalej:

Ambicja serce z pod żeber wykradła,
Sejm się nie kocha już, ani też gminy,
Zbiorowa ta osoba będzie jadła,
Piła, wydawać dziennik, biuletyny,
Gwiazdy się każdej spyta, co upadła:
Jakie pryncypja ma?... A księżyc z miny
Arystokratą nazwie i dlatego,
Że w smutnej twarzy swej ma coś — srebrnego.

Pryncypja... O pryncypja! jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
Nie brzmiała inna struna...

.....

Wiec polityczne moje Falanstery
Bądźcie mi zdrowe!... I wy, co bez głowy
Upadli z pańskiej, jak z niebieskiej sfery,
W arystokratów gracie: smętne sowy!
Co w grze myślicie bić jako kozery
Asa, choć będzie z sercem i laurowy:
Was także żegnam bez miecza rycerze,
A choć mi serce pęka, śmiech mię bierze.

I po takim przygotowaniu rzucał Słowacki strofę, która obrażać mogła uczucia ogółu emigracji, ale w szcze-

gólności dotykała środkowego jej stronnictwa, Lelewelowskiego, do którego zaliczani byli i wodzowie z ostatniego powstania.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca — lecz Fidjasza!
Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!
Żeby też jedna! — Ha — to mię przestrasza —
Kościszko przeczuł was, krzyząc: skończona!
Z krzyża swojego krzyknął tak — a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka... śmiech mię zbiera.

Tak więc Słowacki w swoim polemicznym poemacie podejmował zapomnianą legendę o *Finis Poloniae*, podejmował bez wszelkich zastrzeżeń, jako fakt pewny i niezbity, i używał jej, jako pocisku na współczesne pokolenie, dogadzając tem i swemu pesymizmowi i swoim osobistym żalom do tego pokolenia. Ponieważ ten poemat w swoich pierwszych pieśniach, t. j. o ile został wydany przez samego poetę (1841), kończy się sławnem uderzeniem na Mickiewicza i cały dyszy antagonizmem względem wielkiego poprzednika, uważam za stosowne zastanowić się pokrótce nad pytaniem, jaki był stosunek dwu tych naczelnych poetów naszych do Kościszki, jak się ta postać zarysowała w poezji i wogóle w poglądach jednego i drugiego.

Mickiewicz był wielu węzłami związany z tradycją Kościszkową, wychowywał się w atmosferze pełnej czci dla Naczelnika narodu. Wiemy z pamiętników jego starszego brata, Franciszka, że ojciec poety brał jakiś udział w powstaniu Kościszki¹⁾, wiemy skądinąd, że Kontrym, protektor Zana, zostający w bliskich stosunkach z mło-

¹⁾ Wład. Mickiewicz: *Żywot A. M.* I, str. 4—5.

dzieżą wileńską, był żołnierzem Kościuszkowskim. Wiemy, z jaką siłą żywiołową wybuchła na Litwie a w szczególności w Wilnie cześć dla Kościuszki, kiedy nadeszła wieść o jego śmierci, i jakie olbrzymie wrażenie sprawiały obchody żałobne na cześć bohatera narodowego, urządzone przez wszystkie prawie stany i wyznania. pod koniec 1817 r. O sile tego wrażenia świadczy najlepiej to, co pisał młody profesor wileński, Lelewel, do domu o współubieganiu się i łączeniu wszystkich wyznań w objawach czci dla Kościuszki: »przykładu podobnego na świecie nie było, w Polsce naprzód się jawi«. Wiemy, że zawiązane na parę miesięcy przed temi obchodami Towarzystwo Filomatów, którego jednym z głównych założycieli był Mickiewicz, pierwotnie miało na celu tylko »sztukę pisania« i »udzielanie wzajemnej w naukach pomocy«, a bardzo niedługo po owych obchodach, w r. 1818, zreorganizowało się w taki sposób, że celem jego już było przedewszystkiem »doskonalenie się własne«, szerzenie oświaty, a główną zasadą »poświęcenie się zupełne dobru ogólnemu«, i mamy prawo przypuszczać, że do tej szybkiej zmiany w celach i zasadach Filomatów przyczyniły się niemaló ówczesne objawy czci dla Kościuszki, owe obchody żałobne, owe mowy, wypowiedane przy tej sposobności, w których znajdowały się nieraz wskazówki dla młodzieży, aby w zmarłym bohaterze szukała dla siebie wzoru, a które zostały zebrane razem i wydane w Wilnie 1818 r.¹⁾ Że na ten wzór mieli ciągle zwrócone oczy najbliżsi przyjaciele Mickiewicza, Filomaci, świadczy o tem piosenka ułożona przez Czeczotę a przez nich śpiewana, gdzie były takie wiersze:

¹⁾ *Zbiór mów w różnych miejscach mianych oraz opisów obchodów żałobnego nabożeństwa po zgonie ś. p. Tad. Kościuszki. Porówn. mój artykuł w Czasie z d. 4 lipca 1890 p. t. Mickiewicz i Kościuszko.*

O Kościuszko, piękny wzorze,
Jako ojczyznę miłować!
W każdej życia swego porze
Pragniemy cię naśladować.
Szczerze ojczyznę kochamy,
Dla niej tylko oddychamy i t. d.¹⁾.

Tą czią dla Kościuszki napojona była dusza Mickiewicza, co się uwydatniło i w jego wielkiej epopei i w niektórych artykułach politycznych i w wykładach paryskich. Sam tytuł epopei, *Pan Tadeusz*, zostawał z tą czią w ścisłym związku, boć przecież bohater poematu na cześć bohatera narodu miał sobie nadane imię, ale i poza tem są różne wzmianki w poemacie, o tej czci świadczące, a już na samym wstępie powieści, w obrazie wnętrza dworu Soplicowskiego, znajdujemy na pierwszym miejscu portret Naczelnika:

Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej z oczyma
Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;
Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nim padnie...

W artykule *O ludziach rozsądnych i szalonych*, drukowanym w *Pielgrzymie polskim* z r. 1833, przeciwstawił Kościuszkę Stanisławowi Augustowi, jako typ człowieka głęboko czującego, rozumiejącego instynktem potrzeby narodu i gotowego poświęcić wszystko dla ojczyzny, typowi polityka rozsądnego, ale pozbawionego iskry zapalu i poświęcenia. Wiemy wreszcie, że zamierzał wprowadzić Kościuszkę do dalszych części *Dziadów*, a to w opowiadaniu starego konfederata barskiego, »który w zamku

¹⁾ Zob. moją książkę: *Mickiewicz w świetle nowych źródeł* (1815—1821). W Krakowie 1917, str. 76.

petersburskim przesiedziawszy całe życie, doczekał roku 1825 i opowiada nowym towarzyszom więzienie Kościuszki i Niemcewicza¹⁾. W wykładach literatury słowiańskiej (II, 181—183) zestawiał Kościuszkę z Piastem, jako symbole odrodzenia narodowego, a jak w *Panu Tadeuszu*, tak i tutaj akcentował prostotę, jako cechę charakterystyczną człowieka, który stawał się ideałem nowego odrodzenia narodu.

Tych węzłów, które łączyły duszę Mickiewicza z postacią Kościuszki nie było w Słowackim. Wychowany w domu kosmopolitycznie nastrojonego doktora Bécu, w dali od wpływów filareckich a pod silnym wpływem bajronizującej Ludwiki Śniadeckiej, z tradycją Kościuszkowską w pierwszej młodości mało się zapewne spotykał, a już z natury swojej, do blasku zewnętrznego ciągnącej, nie mógł mieć poczucia dla tego, co stanowiło wielkość moralną nowego ideału narodowego. W jego listach do matki, gdzie jest tyle reminiscencyj z lat dziecińczych i młodzieńczych, jest raz tylko wzmianka o Kościuszcze, wywołana opowiadaniem panny Pattey w Genewie o koniu Kościuszki, który tak był przyzwyczajony przez swego właściciela do zatrzymywania się przed każdym żebrakiem, że i po śmierci jego nie mógł się od tego odzwyczaić. Wzmianka ta wprawdzie wywołuje w poecie pobożne westchnienie: »O Matko moja, jakbym ja chciał być dobrym człowiekiem...«²⁾, ale dość przypomnieć sobie, że pisana była w czasie wydawania *Lambra*, kiedy poeta do najwyższego stopnia zahipnotyzowany był poezją Bajrona, ażeby niewiele wagi przywiązywać do tego westchnienia. Nie w prawdziwej historii Kościuszki nie było tego blasku zewnętrznego, teatralnego, jakiego pożądała wyobraźnia

¹⁾ *Korespondencja Ad. Mickiewicza*. Lwów 1880, II, str. 188.

²⁾ *Listy Juliusza Słowackiego*. Lwów 1899, t. I, str. 177.

Słowackiego. Ten blask, ta teatralność znalazła się tylko w legendzie maciejowickiej, której pochodzenia poeta naturalnie nie podejrzewał, i z niej to, — nie z prawdy historycznej, — chwycił jedyny motyw, dotyczący Kościuszki, który wprowadził do swej poezji — owo *Finis Poloniae!* Poza tym szczegółem, użytym zresztą do celów polemicznych, postać Kościuszki w poezji Słowackiego prawie nie istnieje. Jest wprawdzie w *Piaście Dantyszku* wzmianka o mogile Kościuszki, użytej do pewnego porównania razem z mogiłą Wandy, jest w *Wacławie* kilkunastowerszowy ustęp o Kościuszcze, a nawet fantastyczny epizod z bitwy »pod Maciejowicą«, ale tu postać bohatera narodowego użytą jest tylko jako środek artystyczny dla kontrastu z postacią bohatera poematu, którym jest zdrajca rozpaczający, Szczęsny Potocki, w bengalskiem oświetleniu bajrońsko-dantejskiem. Nie rzucał w prawdzie Słowacki nigdzie na postać Kościuszki cienia, nie dotykał jej nigdzie ironją jak postać księcia Józefa lub Wybickiego, była ona dlań, szanowną, ale artystycznie obojętną, t. j. nieinteresującą, nie miała w sobie nic kongenjalnego, nie pokrewnego duchowi poety, nie mógł w nią nic z siebie włożyć, jak wkładał później w postaci Samuela Zborowskiego lub Zawiszy Czarnego.

Ukazanie się *Beniowskiego* na wiosnę 1841 było nadzwyczajnym wypadkiem w życiu emigracji polskiej w Paryżu. Epicka strona poematu świetnością kolorytu zjednywała mu uznanie nawet między niechętnymi dotychczas Słowackiemu czytelnikami jego, mnóstwo aluzyj do wewnętrznych stosunków emigracyjnych, do walk koteryjnych i do haseł zasadniczych emigracji, wszystko to budziło wielkie zainteresowanie, a najwięcej budził zajęcie, zwłaszcza że miał podkład ideowy, szalony atak końcowy Słowackiego na Mickiewicza. Wszystkie główne organy emigracji, *Dziennik narodowy*, *Demokrata polski* i *Trzeci*

maj, organ stronnictwa dynastycznego, wystąpiły z długimi recenzjami, kierując się przy ocenie swojemi zasadami religijnymi i politycznymi i sympatjami koteryjnemi ¹⁾, ale ich autorowie, mając rozstrzeloną uwagę na mnóstwo szczegółów poetyckiej polemiki Słowackiego, zajęci przede wszystkim tem, co w taki lub w inny sposób dotykało ich stronnictw, przeoczyli szczegół, przeciw któremu ze stanowiska ogólnonarodowego powinni byli wszyscy zaprotestować, to jest ów rzekomy wykrzyk Kościuszki pod Maciejowicami. Do tego przeoczenia przyczyniło się zapewne niemało i to, że stronnictwo środkowe emigracji, do którego należał Lelewel i rozmaite inne figury sejmowe, wreszcie jenerałowie z powstania 1831 r., stronnictwo, przeciw któremu głównie była wymierzona wzmianka o Polsce skończonej, nie miało swojego organu w centrum emigracji, w Paryżu, nie wystąpiło z recenzją o *Beniowskim* i stąd nie zajęło żadnego stanowiska wobec niego. Wreszcie należy zanotować, że w tej samej chwili, kiedy się ukazywał *Beniowski*, w końcu maja 1841, schodził do grobu najbliższy z towarzyszy Kościuszki w bitwie maciejowickiej, ten, który był świadkiem, jak go nieprzytomnego przyniesiono z pola bitwy i który mógł najlepiej ocenić fałszywość legendy, przez Słowackiego wplątanej do poematu.

III.

Stefan Witwicki o Kościuszcze.

Stało się tedy, że legenda o *Finis Poloniae*, ukuta przez Prusaków bezpośrednio po klęsce maciejowickiej,

¹⁾ Zob. moją monografię: *Juljusz Słowacki. Historia ducha poety i jej odbicie w poezji*. Kraków 1904, t. I, str. 323—335.



potem słabo wegetująca, wreszcie zagrzebana w niepamięci, odżyła na nowo w poemacie, który stał się sławnym, i wystąpiła przed oczy całej emigracji, a ponieważ narazie nikt jej nie odparł, nabierała — w przekonaniu publicznem pokolenia, dalekiego od czasów, do których się odnosiła — pozorów historycznego faktu.

Że tak było, za dowód może służyć artykuł Stefana Witwickiego p. t. *O panach i możniejszej szlachcie*, w drugim tomie jego *Wieczorów Pielgrzyma*, wydanym w rok po ukazaniu się *Beniowskiego*, w Paryżu 1842. Było w tym tomie dalsze rozwinięcie myśli, wypowiedzianych już w pierwszym, który wyszedł był w r. 1837 (także w Paryżu), na cztery lata przed *Beniowskim*. W tym pierwszym tomie nie było jeszcze mowy o Kościuszcze. W artykule *O wieku Stanisława Augusta* cała uwaga autora zwrócona była na króla i na wykazanie, jak brakło mu tej siły, która jedynie zdolna była uchronić go od zbrodni i hańby, a narodowi przynieść ocalenie. »Inne narody, pisał Witwicki (str. 328), byt swój prowadzą i utrzymują przez przemysł i handel; inne przez mądrą i dzielną administrację; inne jeszcze przez wojskową potęgę i zdobywcze zabory. Są to wprawdzie siły materialne tylko i nie stanowią prawdziwego ludów życia, gdy się nie podpierają mocą duchową; atoli mogą być wielkie, obronne i nie dać się łatwo obalić. Polska z tego wszystkiego nie nigdy nie miała; czemże tedy żyła? Nie widząc w niej żadnej siły wystąpionej, dotykanej, naocznej, owszem, w braku wszystkiego, co jest gdzieindziej, myślano (dziwne omamienie!), że stoi nierządem. ... Nie nierządem ona stała, broniła się i żyła przez wieki; ale siłą niewidomą, niecielesną, siłą uczucia, której nawet największy nierząd materialny nie zabijał, a której ustawiczną krynicą była Religja! Stąd szła gotowość poświęcenia się, stąd zapal ku wszystkiemu, co wzniosłe, stąd nad wszystkim góro-

wanie powinności; potęgi olbrzymie, urocze, żadnym gwałtem ziemskim przemoc się nie mogące. Przy nich naród, nie mając nic na oko, miał w gruncie wszystko... i jednym tchnieniem mógł się ubrać w moc, jak drzewo w liście. Tem to życiem Polska długie wieki i straszliwe burze przetrwała... A jakże było, zapytuje Witwicki, w wieku Stanisława Augusta, gdy zagroziła ostateczna zagłada? »Zamiast do wiary, udano się do filozofji; nie do ołtarzy, lecz do bibliotek; nie do modlitwy, lecz do krasomowstwa i iskrę życia myślano zdobyć w prochu ziemi«. Ale to, na co król liczył: »filozofja, liberalizm, punkthonor, mądrość ludzka, zatrzymałyż go od zbrodni i hańby? O! nie! Uległy losowi. Tylko Religja, tylko jedna Religja byłaby go do nich nie dopuściła; bo ona jedna nie układa się z losem i ona jedna zna męczeństwo, lecz nie przyjmuje niewiary i odstępstwa« (str. 332).

Przytoczony ustęp doskonale charakteryzuje ideały narodowe i stanowisko zasadnicze Witwickiego. Wspomniałem już, że w artykule, o którym mowa, nie było wzmianki o Kościuszcze, pomimo, iż Kościuszko należał do wieku Stanisława Augusta, pomimo, iż w tragicznym jego zakończeniu tak wielką odegrał rolę. Postać bohatera z pod Raclawic, tak ukochanego przez naród, była niepotrzebna autorowi do jego głównego celu, jakim było napiętnować wiek Stanisława Augusta, jako okres upadku religji, i temu upadkowi przypisać upadek polityczny narodu. Ale kiedy w r. 1842 wydawał tom drugi *Wieczorów*, sytuacja jego była inna: znał już *Beniowskiego* i to znał zapewne bardzo dobrze, nietylko dlatego, że były tam szyderstwa imiennie do niego zwrócone¹⁾, ale

¹⁾

... panna Prakседа

Jak na kazaniu siedziała sanskryckim,
A potem dała mi w sam leb — Witwickim.

Finis Poloniae.



i dlatego, że go musiała mocno interesować walka, którą w tym poemacie wytaczał Słowacki — coprawda pod adresem *Młodej Polski!* — katolicyzmowi w Polsce («Krzyż twym Papięzem jest... twa zguba w Rzymie»). Przy czytaniu tego poematu uderzył niewątpliwie jego uwagę szczegół dotyczący Kościuszki, a ponieważ rzucony był z wielkim rozmachem, a przez nikogo nie odparty, ponieważ o pochodzeniu legendy maciejowickiej, podobnie jak Słowacki, nie miał i Witwicki, jak się zdaje, najmniejszego wyobrażenia, wziął ją za dobrą monetę i znalazłszy w drugim tomie *Wieczorów* sposobność rozwinięcia uwag zawartych w pierwszym, w artykule *O wieku Stanisława Augusta*, wciągnął do nich tym razem i postać Kościuszki wraz z legendą o *Finis Poloniae* i użył jej jako argumentu do poparcia swej tezy, podobnie jak to uczynił był Słowacki, tylko w innym kierunku.

W notach do artykułu *O panach i możniejszej szlachcie*, w którym karciał niedbalstwo polskie i dawał szlachcie różne mądre i pięknie wypowiedziane wskazówki i zachęty, jest mowa o ważności życia wiejskiego w Polsce i wyższości jego nad miejskiem. «Kto wie, pisał, czy dotychczasowe powstania i nie dlatego także upadały, że się poczynały w mieście, nie na wsi. Przychodzi mi niekiedy przez myśl, iż powstanie, co ma na koniec wyrwać ojczyznę z niewoli, nie na bruku się podniesie, nie między jedną kamienicą, jedną rogatką a drugą: ale stanie na polu i pójdzie w przestrzeń, jak są długie i nieprzejrzone łąny nasze, jak są szerokie i niezdobyte lasy nasze, bory i puszcze. Miasto, do którego powstanie przywiązane, raz wzięte, już wszystko stracone; powstanie wiejskie, choć pokonane lub przeszkodzone w jednym punkcie, zmienia tylko miejsce i, pokąd ludzi i serca w nich, ma wszystko, czego mu trzeba... Ale powstanie miejskie jest tysiąc razy łatwiejsze: wiejskie wymaga bez

żadnego porównania potężniejszej siły moralnej! Jedno może zrobić garstka spiskowych, do drugiego potrzeba całego narodu. Tamto może się zrodzić z momentalnego nawet wzruszenia: jedna jakaś, czasem mała, okoliczność, jedna książka, jeden dziennik zdola je niekiedy wywołać; do tego potrzeba uczucia, powszechnie i głęboko w narodzie zagnieżdżonego, uczucia religijnego we wszystkich duszach! (Jakieś podobieństwo powstania wiejskiego było już w Konfederacji barskiej.) — Uczucie to szczególnie powinno być mocnem, być uczuciem panującym i wszystkie inne pochłaniającem u stojących na czele, a najbardziej u tego, kto będzie głową i sercem, kto najwyższym przewodzą. Mam przekonanie, przekonanie na całej przeszłości narodu i na znajomości, jak mi się zdaje, charakteru, natury i wszystkich sił jego oparte, że taki tylko mąż, mówię mąż religijny, religijny z szczerością i prostotą, zbawi Polskę (t. I, str. 328). Kościuszko, który miał rzadkie przymioty Naczelnika, tego jednego nie miał i w skutku nic nie miał, nie mógł mieć. Uczeń i towarzysz Waszyngtona i Franklina, ślepa, nieograniczona ufność w Opatrzności, wiarę w możność wszystkiego przy sprawiedliwości, zapał młodzieńca, dziecka — (duszę Polaka), chciał zastąpić przewidywaniem i determinacją ludzką, rozumem starego człowieka, pilnością osadnika i kupca amerykańskiego, bardzo wprawdzie zacnego i ucziwego, lecz przedewszystkiem lękającego się bankructwa i ruiny — (duszą obywatela Stanów Zjednoczonych): — i pokazało się, niestety! że mimo cnót i najszanowniejszych przymiotów, a między temi szczególnie w nim uwielbiam szlachetny i wielkiego znaczenia przymiot prostoty i skromności obyczajów, nie był jednak mężem, jakiego wówczas ojczyzna Czarneckich i Sobieskich potrzebowała. Główną naprzykład rzeczą działań wojennych Kościuszki było okopać się i zgotować sobie obronę za szanćcami.

Nie miał wiary na początku i całkiem niechętnie i prawie z musu (wiem ten szczegół od jego spółtowarzyszów i spółdowódców) powstanie zaczynał; nie miał wiary na końcu i wykrzyknął pod Maciejowicami, że już Polska na wieki stracona¹⁾.

Nie będę tu roztrząsał sądów Witwickiego o Kościuszcze, wykazywał, o ile się na błędnych przesłankach opierają, bo nie o to tu chodzi. Zostawiam to na później, do osobnego studjum o charakterze i roli tego bohatera w dziejach Polski. Tutaj zwracam uwagę tylko na to, co jest niezbędne dla poznania historii legendy, t. j. że książka Witwickiego, przeznaczona dla szerokich kół polskich patriotycznych i przeważnie konserwatywnych, zamiast odeprzeć legendę odświeżoną przez Słowackiego, przyczyniła się swemi uwagami, wyżej przytoczonymi, do jej utrwalenia i rozpowszechnienia.

IV.

Franciszek Paszkowski w obronie Kościuszki.

Niemile musiało to razić tych wszystkich czcicieli Kościuszki, którzy znali go niegdyś osobiście, zbliżeni, mieli sposobność dobrze poznać jego charakter, jego koleje życia i o przebiegu bitwy maciejowickiej mieli mniej więcej dokładne wyobrażenie. Jednym z takich był dawny jeneral wojsk polskich, Franciszek Paszkowski. Wprawdzie w powstaniu Kościuszkowskim udziału nie brał, miał wtedy dopiero lat 16, ale niedługo potem uszedł do Włoch, gdzie wstąpił do wojska francuskiego i jako kapitan francuski, przybywszy w r. 1801 do Paryża, zaznajomił się z przebywającym w Berville pod Paryżem po powrocie z Ame-

¹⁾ *Wieczory Pielgrzyma*, T. II, Paryż 1842, str. 30=33.

ryki Kościuszką i wkrótce pozyskał sobie jego szczególną sympatję, która trwała aż do zgonu Naczelnika i objawiła się pewnym legatem pieniężnym dla generała Paszkowskiego w testamencie Naczelnika. Otóż Paszkowski, który przez całe życie zbierał materiały do żywota Kościuszki i który napisał sporą książkę p. t. *Dzieje Tadeusza Kościuszki, pierwszego Naczelnika narodu*, wydaną z nakazu autora dopiero pośmiertnie (w Krakowie 1872), przeczytawszy w *Wieczorach* Witwickiego ustęp o Kościuszcze z legendą o *Finis Poloniae*, był mocno uwagami Witwickiego zgorszony i, dopisując w r. 1850 noty do gotowego już swego dzieła, tak pisał o legendzie maciejowickiej: «Że wieść tę za rzeczywistość u Niemców przyjęto, ażeby ją na swoją korzyść obracać, to się pojmuję; ale że my sami Polacy, mimo głębokiego wstrętu, dotąd ją bez żadnej wątpliwości i krytycznego badania za prawdziwą przypuszczamy: — i to się pojmie, jeżeli się uważy naszą odwieczną, zapamiętałą, marnotrawną bezkorzystność. Ile ta wieść jest wątpliwa i w sobie samej niedorzeczna, czas już dla przyszłego historyka wyświecić. Prawdziwe wydarzenia w upadku i pojmaniu Kościuszki były następujące: Gdy w końcu bitwy jazda polska na lewym skrzydle przed jazdą nieprzyjacielską pierzchnęła, Kościuszko, chcąc ją zwrócić i na skrzydło nieprzyjaciela ponieść, sam za nią polecał i, sadząc przez rów, z koniem upadł, dopadli go w tej chwili kozacy i ranili pikami, a dobiegający karabinier cięciem w głowę pozbawił go zmysłów. — Generał moskiewski, Tolstoj, który znał dawniej Kościuszkę w Warszawie, poznał go tu leżącego, obnażonego i krwią zbroczonego, kiedy po bitwie przechodząc się po polu, ujrzał kupę żołnierzy, przypatrujących się mu, dla wieści, że to on był. Doświadczano zatem rozmaicie, czy jeszcze żyje, aż, na przeraźliwe mu krzyczenie w uszy, otworzył usta; zaczem Tolstoj kazał go, okrywszy, zanieść do dworu

w Maciejowicach. Pytania więc z tego same się nasuwają; czyli w takowem wydarzeniu był czas, pochop, pora do podobnego teatralnego zawołania? Czyli kozacy i karabinier, jedyni bliżsi widze tej sceny, słyszeli, zrozumieli, spamiętali i odnieśli słowo tego zawołania? Już tu fizyczne niepodobieństwo jest jawne; ale może jeszcze większe okaże się niepodobieństwo moralne, w prostocie, skromności i wyrozumieniu swojej rzeczy Kościuszki; bo podobne w takim razie zawołanie nie mogłoby było być [jak] tylko skutkiem poprzedniego w nim głębokiego i długiego o sobie samym zarozumienia; a Witwicki sam zarzuca mu, że (co prawda) nie ufając środkom, niechętny się rzeczy podejmował; przez co jednak, podjąwszy się, dowodził, że tem chętniej całego siebie poświęcił. Wieść więc ta wydaje się całe zmyśloną!«...¹⁾

Paszkowski, karcąc Witwickiego za powtarzanie legendy maciejowickiej bez jej odparcia, za wkładanie mu w usta wykrzyku: *Finis Poloniae!*, który mu ta legenda podsuwała, nie podejrzewał wcale, co Witwickiego upoważniło i skłoniło do wprowadzenia tej legendy do swoich uwag i przyjęcia jej za fakt historyczny. Paszkowski widocznie nie znał *Beniowskiego*, bo gdyby go był znał, sądzę, nie omieszkałby wystąpić w swoich notach także i przeciw Słowackiemu, którego echem tylko w tym razie był Witwicki. Nie znał *Beniowskiego*, choć w tym poemacie była i jemu, Paszkowskiemu, jako autorowi bezimiennemu, poświęcona pewna strofa, a raczej dwie strofy ironiczno-polemiczne (w pieśni III). A jakżeby się zdziwił i zasmucił, gdyby mu ktoś wyjawiał przypuszczenie wcale nie pozbawione prawdopodobieństwa, że to on w pewnej mierze pobudził Słowackiego do odświeżenia legendy o *Finis Poloniae* w *Beniowskim*, a tem samem

¹⁾ *Dzieje Tadeusza Kościuszki*, str. 257—8.

przyczynił się także do wprowadzenia jej w tomie drugim *Wieczorów Pielgrzyma* Witwickiego.

Szczegół to podrzędny, ale że należy do historii legendy, trzeba go objaśnić. Paszkowski oprócz *Dziejów Tadeusza Kościuszki*, wydanych pośmiertnie, był autorem jeszcze innej książki, którą sam wydał bezimiennie p. t. *Pomysły do dziejów Polski* (w Paryżu 1840). Schowawszy po wojnach napoleońskich oręż do pochwy i oddawszy się zajęciom rolniczym, rozmyślał w chwilach swobodnych od tych zajęć nad dziejami ludzkości, a przedewszystkiem swego narodu, i owoc swoich rozmyślań złożył w owych *Pomysłach*. Był to, jak można wnosić z pism jego, charakter prawy, szlachetny, bezinteresowny, a przytem trochę zgryźliwy; umysł oryginalnie myślący, któremu nie brak było i odczytania w rzeczach poważnych, ale pozbawiony w wysokim stopniu zdolności jasnego wypowiedania i wiązania swoich myśli. Romantyzmu w nim nie było ani odrobiny; jego ulubionym poetą był Krasicki, jego nieraz cytuje, z niego też wziął epigraf do swojej książki:

Plodzie, szanownych ojców noszący nazwiska,
Zewsząd cię zasłużona dolegliwość ściska,
Sameś sprawcą tych losów. Zdrożne obyczaje,
Krnąbrność, дума, rozpusta, nierząd gubi kraje.

Jego bezinteresowność wskazuje uwiadomienie, które wydawca podał na czele książki: »Rękopism niniejszej książki bezimiennie został przysłany do drukarni polskiej, z funduszem na jego wydanie i z poleceniem, aby cena każdego egzemplarza nie przechodziła kosztów jego nakładu i aby cały dochód z wyprzedaży tej książki został złożony do kasy Towarzystwa Dam polskich« (Tow. Dobroczynności). Wyrzekał się więc i zysków i sławy, a przy najmniej rozgłosu.

Otóż w tej książce znajdował się artykuł zatytuło-

wany *Opinja*, w którym autor występował przeciw współczesnym poetom, oskarżając ich o to, że jak dawniejsi schlebiali królom, tak ci schlebają ludowi, wmawiając weń »królewską dumę wszechwładztwa i najwyższej w ustawach i rządzie mądrości«... »A że wśród ludu młodzież łóżna, niezajęta, nieumna i lekkomyślna najpochopniejsza jest do nowych wrażeń i do porywczych uniesień: więc pochlebcy ludów dworują jej także, jako następcy tronu popularnego... i równie źle i zgubnie przysługują się młodzi i ludom, jak pochlebcy króli panom swoim«. I tu jako przykład podawał ustęp z *Kordjana* Słowackiego, w którym bohater dramatu w scenie spiskowej woła do zgromadzonych, »aby mu się dali w ręce«, ponieważ czuje w sobie wielką siłę poświęcenia:

Wierście mi, wierście, ludzie, jam jest wielki, mocny itd.

Był też w tym rozdziale pod koniec zwrot i do *Ody do młodości*, albo raczej do wpływu, jaki ona na młodzież wywiera. Autor zapytawszy, czemu jest młodzież? odpowiada: »Nadzieją jedynie, i ta pelźnie nیکczemnie, żalostnie, kiedy sama w sobie skutek dzielnej zasady, cichej, statecznej pracy, długiego czynu i doświadczenia wyprzedza. »Ten co w kolebce łeb urywał hydrze, młodzieńcem dusił centaury«, w skromnych dojrzewał pracach, w unizonych znojach«... I tu następowało porównanie z odwiecznym dębem, który dlatego opiera się tyłu burzom, nawałnicom i niewczasom, że zanim zaczął rósć w górę, zapuścił naprzód głęboko w ziemię korzenie. «My jako rośliny letnie, prędkozrzale, im płytsze w zasadzie, tym na pozór okazalsze w poroście, wczesny kwiat dajem mdłej woni, próżnej chluby... a przypadek tylko, nie własna siła, ocala nas od burz i przeciwności, pod którymi niedołążnie upadamy«. Rozdział kończył się cytatem z Krasickiego:

Szczególne i powszechne doświadczenie uczy,
Że nie można być wielkim i prędko i łatwo itd.

Dla Paszkowskiego, w tych rozważaniach nad młodością, wzorem, ideałem człowieka i Polaka był Kościuszko, choć go tu nie wymieniał. Nie miał bowiem Kościuszko w sobie nic z genialności olśniewającej, uwielbianej przez romantyków; on to »w skromnych dojrzałych pracach, w uniżonych znojach«, on był dla Paszkowskiego owym dębem, zdolnym opierać się wielkim burzom i nawałnicom. Jemu też w swoich poglądach na dzieje Polski od czasów Stanisława Augusta aż do końca powstania listopadowego poświęcił obszerny rozdział p. t. *Kościuszko*, w którym szczegółowo i dokładnie przedstawił dzieje powstania z r. 1794 i na tem tle uwydatnił zasługi Naczelnika. A kończył ten rozdział takimi uwagami: »Jeżeli był kiedykolwiek Polak, coby osobistym swem usiłowaniem mógł zbawić swoją ojczyznę, to nim był Kościuszko. Z przymiotami swego narodu łączył wyższy rozsądek, wsparty na nauce, rozwadze i doświadczeniu wojny, a przeto wolny był od wad, które ziomków jego niezdatnymi czyniły ku wspieraniu go dzielnie w usiłowaniach jego. Każdy z nas, który czuje w sobie ciche, skromne i swobodne powołanie do dźwigania Ojczyzny, powinien ściślej wglądać w całe życie Kościuszki i na nim brać wzór i z niego brać nieomylną otuchę wyswobodzenia jej...

Tę książkę czytał Slowacki zaraz po jej wydrukowaniu, t. j. w czasie, kiedy już pisał *Beniowskiego* i gotował się dać wszystkim swoim krytykom złośliwą odprawę. W książce nowej spotykał się z autorem, który był jego antypodem pod względem usposobienia, przekonań i daru wymowy, ale przedewszystkiem zwróciła ona jego uwagę tem, czem dotykała osobiście, t. j. cytatem z *Kordjana*, ilustrującym, jak poeci dzisiejsi schlebiają

ludowi i młodzieży. Nie omieszkał też zaraz i bezimiennemu autorowi *Pomysłów do dziejów Polski* dać odprawę w *Beniowskim*, żeby zaś znaleźć jakiś sposób wciągnięcia go do poematu wymyślił, że i Beniowski

Na starość także napisał: *Pomysły*
Do dziejów, które się dzieć kiedyś mogą,
Z czego korzystał dzisiaj jeden ścisły
Krakowczyk, książkę wydawszy niedrogą.
Książka ma polską duszę, a na zmysły
Działa jak Niemiec; mnie zaś szarpie srogo,
Bije po rękę, jak rektorska linja;
Jeśliś ciekawy, patrz Rozdział: *Opinja*.

Odprawa była o wiele łagodniejszą od innych, któremi poemat był przepelniony, już choćby z tego powodu, że Słowacki nie mógł podejrzewać bezimiennego Krakowczyka o jakiegokolwiek współnictwo z emigracyjnymi krytykami, którzy mu drogę zagradzali do sławy. Duszę jego nazwał polską, a sądzę, że do tego najwięcej się przyczyniło to, że w książce jego uderzała nadzwyczajna cześć dla Kościuszki. I tu jest miejsce na wyjawienie przypuszczenia, że ta to, właśnie okoliczność stała się pobudką dla Słowackiego, tak łatwo ulegającego podmuchom chwilowych wrażeń, że do swego natarcia na emigrację użył imienia Kościuszki, związawszy je ze słowami legendy: *Finis Poloniae*. Naturalnie tych słów nie wziął od Krakowczyka, bo tej legendy nie było u niego, ale skoro dzięki jemu, w czasie ataku na emigrację, przypomniła mu się postać Kościuszki, sięgnął do znanej sobie skądinąd legendy, aby tem imieniem i tą legendą nadać tem większą siłę swoim pociskom. Zwracam uwagę na to, że strofa ze wzmianką o Kościuszcze i strofa krytykująca książkę Krakowczyka należą do tej samej pieśni (trzeciej) i są w bliskim ze sobą sąsiedztwie, oddzielone od siebie tylko

dziewięciu oktavami, co przypuszczenie czyni bardziej prawdopodobnem.

Co się tyczy Paszkowskiego, to należy tu jeszcze zanotować jeden szczegół dziwny, ale dla historii legendy maciejowickiej, rojącej się od bałamuctw, bardzo charakterystyczny. Paszkowski w swoich pośmiertnie wydanych *Dziejach Tadeusza Kościuszki* (str. 257), oburzając się, że «sami Polacy, mimo głębokiego wstrętu, dotąd ją (legendę o *Finis Poloniae*) bez żadnej wątpliwości i krytycznego badania za prawdziwą przypuszczają», podaje do wiadomości czytelnika źródło, skąd jakoby ta legenda wypłynęła. »Wieść o wyrzeczeniu tem w chwili swego (t. j. Kościuszki) upadku pod Maciejowicami, pierwszy Seume zapisał, młody Niemiec, w służbie moskiewskiej w powstaniu Warszawy pojmany, w opisie swych przygód i tej wojny, wkrótce po jej zakończeniu wydanym«. A już i przedtem na str. 254 do 255, wymieniając ważniejsze dzieła polskie i obce, dotyczące powstania Kościuszki, pisze: »Seume, młody Niemiec w służbie rosyjskiej, jeniec w Warszawie, dość płocho swoje przygody w tej wojnie opisał; on to pierwszy między innemi umieścił wieść o owem *Finis Poloniae*, którą Niemcy na korzyść swoją dotąd utrzymują i uznawają za prawdziwą, a niektórzy Polacy zbyt bezkorzystnie dla siebie bez sprzeczeki przypuszczają«. Otóż w istocie Seume był takim młodym Niemcem w służbie rosyjskiej, który w Warszawie został wzięty w niewolę i który wkrótce po upadku powstania napisał i wydał w Lipsku 1796 książeczkę p. t. *Einige Nachrichten über die Vorfälle in Polen im Jahre 1794*. Z tonu, jakim Paszkowski mówi o tem piśmie (które zresztą było przedrukowywane wielokrotnie w zbiorowych wydaniach dzieł Seumego), nie można wątpić, że je miał w rękę, że je czytał; wszakże to był tak interesujący dla niego przedmiot! Ale skąd mu się wzięło, aby Seumemu, — który, jak na cudzoziemca, służą-

cego w nieprzyjacielskim wojsku, bezstronnie i z wielkiem uszanowaniem mówi o Kościuszcze, choć krytykuje jego strategię, — skąd mu się wzięło przypisać Seumemu to *Finis Poloniae*, o którym u Seumego niema ani wzmianki? Nie będę się silił na objaśnianie tego balamuctwa, które było zapewne owocem starszej pamięci, ale chcę zaznaczyć, że to balamuctwo, jedno z wielu tych, co pokutują w naszej literaturze historycznej, dotyczącej Kościuszki, przesiąkło aż do wielkiego dzieła Korzona o Kościuszcze. Korzon bowiem, który znał już właściwe źródło legendy, a Seumego pamiętnik znać musiał, a przynajmniej znać był powinien, wahał się, czy wierzyć ma własnym oczom czy pamięci Paszkowskiego, bo mówiąc o »pomysłowym wynalazcy« legendy, w nawiasie stawiał ze znakiem pytania nazwisko Seumego ¹⁾.

Czy głosy takie, jak Słowackiego w *Beniowskim*, a Witwickiego w *Wieczorach Pielgrzyma*, uznające legendę za fakt historyczny, przenikały do wiadomości niemieckiej publicystyki, rzecz to bardzo wątpliwa, ale i bez tego w pruskich sferach rządowych legenda o *Finis Poloniae* była starannie przechowywana, aby ją wysuwać, gdy się okaże potrzeba i nadarzy ku temu sposobność. Tak się stało w okresie rewolucyjnym 1848—9, kiedy w Poznańskim wśród Polaków bardzo żywo były rozbudzone uczucia narodowe i bardzo ostro zarysowywał się antagonizm polsko-niemiecki. Wtedy to rząd pruski, przeciwdziałając polskiemu ruchowi narodowemu w Poznańskim, zamyslał o t. zw. reorganizacji tej prowincji, t. j. o rozkawalkowaniu jej na części, a kiedy Polacy wnieśli protest przeciwko tym zamysłom w sejmie Rzeszy we Frankfurcie i znaleźli

¹⁾ »Z większem prawdopodobieństwem mógłby pomysłowy wynalazca (Seume?) włożyć Kościuszcze w usta: „*Finis Insurrectionis!*“ *Kościuszko*, biografia z dokumentów wysnuta przez K. Kraków 1894, str. 449.

wśród mniejszości tego sejmu pewne echa przychylne, ukazała się broszura niemiecka, ziejąca nienawiścią ku Polsce, a samym tytułem swoim odświeżająca legendę. Tytuł ten brzmiał: *Finis Poloniae! Beweis dass Polens Selbständigkeit weder ihm selbst noch Deutschland Heil bringen würde*, Weimar 1848. Po krótkim wstępie znajdował się tam drugi tytuł, albo raczej tytuł głównej części tej broszury, który jeszcze dokładniej określał jej treść i tendencję: »*Hauptargumente aus den in der Nationalversammlung zu Frankfurt gehaltenen Reden für oder gegen Posens Einverleibung in den deutschen Bund nebst den daran knüpfenden Beweisführungen über Polens gänzliche Unfähigkeit zu einer staatlichen Wiedergeburt*«. Była to krytyka wszystkiego tego, co się mówiło w sejmie Rzeszy na korzyść Polski, a bardzo wyteżone uzasadnianie tego, co się tam mówiło przeciw narodowi polskiemu. Kiedy zaś August Cieszkowski, w obronie praw polskiej ludności w Poznańskim, wydał broszurę o stosunku Poznańskiego do pruskiej korony p. t.: *Zusammenstellung von Staatsvölkerrechtlichen Urkunden*, wtedy w odpowiedzi na tę broszurę pojawiła się inna, która wyszła ze sfer rządowych pruskich (napisana, jak się domyślano, przez sekretarza ministerjalnego Puttkammera), a miała także tytuł: *Finis Poloniae*¹⁾, dążeniem zaś broszury było wykazać, że praw-

¹⁾ *Finis Poloniae* von einem Preussen. Berlin 1850. Wogóle ten rzekomy okrzyk Kościuszki służył rządowi pruskiemu za hasło do antypolskiej propagandy. I tak w r. 1861, kiedy się ukazała broszura francuska p. t.: »*La Prusse et les traités de Vienne*« przychylna sprawie polskiej, rząd pruski pośpieszył zaraz z odpowiedzią, pełną buty i pogardy dla Polaków, napisaną także po francusku p. t.: *Finis Poloniae*, (Bruxelles, Leipzig, Gand 1861). Kończyła się ona bardzo charakterystycznym dla źródła legendy zwrotem: »*Nous pourrons bien répéter les derniers mots du brave Kocziusko (sic): Finis Poloniae!*«

dziwy *Finis Poloniae* nastąpi dopiero wtedy, kiedy W. Ks. Poznańskie przestanie istnieć, jako odrębna całość administracyjna i zostanie rozdzielone między inne prowincje pruskie; inaczej państwu pruskiemu będzie ciągle groziło niebezpieczeństwo. Donosił o tem korespondent *Czasu* w Nr. 3 z 4 stycznia 1850 r., a Paszkowski, który mieszkając wtedy pod Krakowem był stałym czytelnikiem *Czasu*, gorszył się i zanotował to zgorzsenie swoje w przypisach do gotowych już *Dziejów Tadeusza Kościuszki*, że korespondent *Czasu* podawał rzekome słowa Naczelnika bez odparcia legendy »jako własne wyrzeczenie Kościuszki«.

V.

Leonard Chodźko. Autentyczne pismo Kościuszki.

Niedługo potem, pod koniec roku 1850, ukazał się był w *Journal des Débats*, jednym z najpoważniejszych dzienników politycznych francuskich, artykuł Johna Lemoinne, jednego z redaktorów tego pisma, widocznie z jakąś aluzją do legendy maciejowickiej. Mówię w i d o c z n i e, gdyż treść artykułu tego nie jest mi znana, bo *Debatów* w bibliotekach krakowskich znaleźć nie można, wiadomość zaś o tym artykule znajduje się w *Czasie* z 3 grudnia 1850, Nr. 279, w korespondencji z Paryża pod datą 27 listopada. Korespondent pisał: »Z powodu artykułu p. John Lemoinne p. Leonard Chodźko posłał do redakcji *Debatów* własnoręczny list Kościuszki, pisany dnia 12 listopada 1803 roku, w którym nasz bohater zaprzecza, aby pod Maciejowicami zawołał: *finis Poloniae!* Mówi on w tym liście, że kiedy został ranny, stracił przytomność i nie odzyskał jej aż po kilku godzinach; że kiedy był ranny, nie wiedział, że bitwa była przegrana; że wreszcie objawianie absolutnego zdania

o przyszłości ojczyzny byłoby z jego strony czynem zbrodniczym».

Z nazwiskiem Leonarda Chodźki w historii legendy maciejowickiej pojawia się nowa postać, która bodaj czy nie najwięcej w niej nabrzdziła. Leonard Chodźko, kolega szkolny Zana, uczeń uniwersytetu wileńskiego między 1815 a 1817, od r. 1819 sekretarz prywatny ks. Michała Ogińskiego, z którym liczne odbywał podróże, znalazł się w Paryżu na kilka lat przedtem, nim potok emigracji polskiej tam napłynął, bo już w r. 1826, i tu rozpoczął swoją działalność literacką i wydawniczą od wydania Pamiętników swego pryncypała w języku francuskim. Wyrobiwszy sobie liczne stosunki w Paryżu, uzyskał naprzód posadę urzędnika w bibliotece uniwersyteckiej, a potem bibliotekarza w ministerjum oświecenia. Był to człowiek używający opinii gorliwego patrioty, umysł niezmiernie ruchliwy i płodny, pisał bardzo dużo i to przeważnie po francusku dla Francuzów o Polsce, ale ta płodność nie szła bynajmniej w parze z gruntownością studjów i nieraz na grafomanję zakrawała. Co gorsza, Leonard Chodźko należał do ludzi, mających przekonanie, że cel patriotyczny uświęca wszelkie środki, zwalnia autorów od sumiennego traktowania przedmiotu i upoważnia nawet do fałszowania dokumentów historycznych. Tak przynajmniej z tego, co zrobił, wnosić można.

Tknięty do żywego, że legenda o *Finis Poloniae* traktowana jest poważnie przez tak poważny organ, jak *Journal des Débats*, zamiast wykazać bezpodstawność i niedorzeczność legendy, co nie było rzeczą trudną, postanowił chwycić się metody: *similia similibus curantur* i obalić legendę apokryfem. Chodziło o to, aby sam Kościuszko, od 33-ch lat spoczywający w grobie, zaprzeczył słowom wkładanym mu w usta, co już ciż nie było rzeczą łatwą. Trzeba było zatem znaleźć, albo raczej skomponować jakieś da-

wniejsze oświadczenie Kościuszki, któreby było takim zaprzeczeniem.

O pomoc w tej sprawie zwrócił się do swego znajomego, Jerzego Zenowicza (ur. 1782), dawnego generała napoleońskiego, którego przed bitwą pod Waterloo Napoleon wysyłał bezskutecznie do Grouchy'ego, żądając jego przybycia. Zenowicz był jakimś dalekim krewnym Kościuszki i autorem książki: *Défense de la Pologne ou Histoire morale, politique et littéraire de cet ancien état* par Mr. Georges de Despots de Zenowicz, Paris 1812, w której wspominał i o bitwie pod Maciejowicami i z uwielbieniem pisał o Kościuszcze: «En citant les Polonais qui ont droit à l'admiration de la posterité, je placerais Kościusko à leur tête, si mes relations de famille avec lui ne m'obligeaient de restreindre les éloges, que je devrais lui donner. L'univers connaît les talents et les services importants, qu'il a rendu à sa patrie; tout ce que j'essayerais de dire, serait au-dessous de la gloire et de la reconnaissance des Polonais» (str. 97)¹⁾. O jakimś bliższym stosunku Kościuszki do Zenowicza nic nie wiemy, a przytoczony ustęp zdaje się świadczyć o chęci autora popisania się przed światem pokrewieństwem z Kościuszką.

Bądź co bądź, był to człowiek, który nadawał się jak najlepiej do roli, jaką mu wyznaczał Leonard Chodźko: dać świadectwo w imieniu Kościuszki, że ten słów mu przypisywanych po klęsce maciejowickiej nie wypowiedział. Napisał więc Chodźko do niego zaraz list w tej sprawie i otrzymał następującą odpowiedź:

¹⁾ »Wymieniając Polaków, których powinna wielbić potomność, powinienbym umieścić Kościuszkę na ich czele, gdyby stosunki rodzinne, które mię z nim łączą, nie zmuszały mnie do ograniczania pochwał dla niego. Cały świat zna jego zdolności i wielkie zasługi jego dla ojczyzny; cokolwiekbym w tej sprawie próbował tu powiedzieć, byłoby poniżej jego sławy i wdzięczności Polaków«.

Paris, ce 6 novembre 1850. »Kochany Leonardzie! Co mi mówisz w liście twym o *finis Poloniae*, jest zupełną prawdą i niejednokrotnie Naczelnik mi o tem mówił z żalem w sercu. Przy ciągłych wyprawach wojennych, a niekiedy i niepomysłnych odwrotach, przy tylu gonitwach i wygnaniach, przez jakie przechodziłem od lat tylu, wiele papierów ważnych zaginęło mi. Po otrzymaniu listu twego zajrzałem w swoje papiery i znalazłem minutkę listu Naczelnika do Ségura, gdyż sam list był przezemnie pisany pod dyktowaniem Kościuszki. Przy tym liście dołączam ci kopję i serdecznie cię uściskam, Jerzy Zenowicz«. Zgodność kopji stwierdził podpisem: G. Zenowicz, ancien colonel d'Etat Major Général de Napoléon ¹⁾.

Ażeby zrozumieć ten list Kościuszki do Ségura, o którym wspomina w liście do Chodźki Zenowicz i którego kopję mu przesyła, potrzeba przedtem poznać inną sprawę, która wywołała inne, autentyczne pismo Kościuszki, przeznaczone dla Ségura, jako autora dzieła już wyżej wymienionego (*Tableau historique et politique de l'Europe* etc). W r. 1803 wyszło trzecie wydanie tego dzieła i w tomie drugim tego wydania, na str. 272—273 w opisie bitwy maciejowickiej był ustęp, dotyczący generała Ponińskiego, który w stosunku do tej bitwy odegrał mniej więcej taką rolę, jaką generał Grouchy w stosunku do bitwy pod Waterloo: nie przybył pomimo wezwania Naczelnika na czas ze swoim oddziałem pod Maciejowice i stał się w ten sposób przyczyną klęski. Generał Poniński był synem osławionego i zienawidzonego przez wszystkich patriotów Adama Ponińskiego, pod którego laską marszałkowską dokonał się pierwszy rozbiór Polski, więc nie dziwnego, że padło na niego z powodu tego spóźnienia się podejrzenie

¹⁾ Oryginał listu Zenowicza ma się znajdować w papierach po Leonardzie Chodźce w Rapperswyłu. Podał go Korzon w swojej monografji o Kościuszcze na str. 664.

o zdradę i przeniknęło do historii Ségura. »La trahison — czytamy we wskazanem miejscu u Ségura — rendit inutiles tous les efforts de la vaillance polonaise. ... Poniński, chargé d'empêcher le passage d'une rivière, le livra (Kościuszkę) aux Russes« ¹⁾.

W jesieni 1803 roku przybył do Paryża Poniński, a znalazłszy tylko co przytoczony ustęp w książce Ségura, napisał do Kościuszki po francusku obszerny list, w którym starał się usprawiedliwić swoje spóźnienie się pod Maciejowicami i kończył w ten sposób, że »przykro mu mówić o sobie samym i niejako chwalić się samemu; ale spotwarzany od niektórych Polaków i w piśmie p. Ségur będąc wspomniany, jako zdrajca ojczyzny swojej, przymuszony jest do tego; a że do czasu pojmania swego Kościuszkę najlepiej wie, co się stało, pochlebia sobie, iż umiając cenić swój, będzie umiał równie cenić jego honor i że mu da odpowiedź, na jaką zasługuje, jaką sam winien prawdzie i która mu służyć będzie za świadectwo nienagannego postępowania« ²⁾.

Kościuszkę odpowiedział (także po francusku) na ten list Ponińskiego tak, jak mógł odpowiedzieć, w niczem nie naruszając prawdy. Nie miał on możności wyrobić sobie jakiegoś jasnego przekonania, czyto o winie, czy o niewinności Ponińskiego, tak więc odpowiedział: »W epoce tak oddalonej i nie mając papierów potrzebnych do sprawdzenia czynów, pamięć sama byłaby niepewnym przewodnikiem. Przypominam sobie jednak, że w raporcie moim do narodu po bitwie Szczekocińskiej oddałem sprawiedliwość odwadze W Pana. Co do bitwy pod Maciejowicami, wiem, że dałem W Panu kilka rozkazów przyzwoitych do mnie ze swoją

¹⁾ »Zdrada udaremniła wszystkie wysiłki waleczności polskiej... Poniński, który miał rozkaz nie dopuszczenia, aby wróg przekroczył pewną rzekę, wydał go (Kościuszkę) Rosjanom«.

²⁾ Fr. Paszkowski: *Dzieje Tad. Kościuszki*, str. 169.

dywizją, na którą wielce liczyłem, i wiem, że rozkazy moje nie były wykonane; ale co do wypadków po mojem pojmaniu nie mogę nic pewnego powiedzieć¹⁾.

Ponińskiemu, obarczonemu hańbą imienia ojcowskiego, takie świadectwo Kościuszki nie wystarczało do oczyszczenia się w opinji publicznej od podejrzeń o zdradę. Zrozpaczony, uderzył w inny ton, gwałtowny, chcąc do żywego obrazić Kościuszkę i wywołać pojedynek. Zdawało mu się, że w ten sposób poprawi swojej sławy. Napisał tedy nowy list do niego, zarzucając mu nieudolność, zwalając całą winę kłęski maciejowickiej na niego, a nawet robiąc mu zarzut z tego, że nie odebrał sobie życia przed dostaniem się w ręce wroga, skoro miał pistolety, »o których mawiał, że go od niewoli ochronią«. W razie zaś, gdyby Kościuszko nie dał mu satysfakcji honorowej, groził ogłoszeniem swojej korespondencji drukiem²⁾.

Otrzymawszy ten list, Kościuszko wezwał czterech »poufalszych swoich«, a w tej liczbie i Paszkowskiego, który tę sprawę bardzo żywo i zajmująco opisał, i odczytawszy im ten drugi list Ponińskiego, powiedział spokojnie: »Ja z nim strzelać się muszę, inaczej nie wypada«. »My — powiada Paszkowski — przelożyliśmy mu, że to nie do, niego prywatnego, ale do Naczelnika narodu się ściąga w żaden więc sposób nie należało mu na to odpowiadać i że naszą będzie rzeczą zapobiec temu. »Nie, nie czynicie tego, rzekł z właściwą sobie ujmującą słodyczą: gdybym był jeszcze Naczelnikiem narodu i w kraju, wiedziałbym, jak postąpić, ale tutaj... »Więc, rzekliśmy, on nie dójdzie do Naczelnika tylko po nas i tego nie zechcesz nam wzbraniać«. Po wyjściu zaraz naszym od niego, zebrali się będący wówczas w Paryżu Polacy w liczbie dwudziestu czte-

¹⁾ Tamże 172.

²⁾ Tamże 172—173.

rech; przeczytano całą korespondencję i zgromadzenie, przejęte zgrozą i niechęcią na tak zdrożną zapamiętałość, postanowiło jednomyślnie wysłać do Ponińskiego z oświadczeniem, »iż targnąwszy się na honor całego narodu w osobie jego Naczelnika, gdyż nim nigdy być nie przestał, nawet po upadku kraju, miał przeprosić go i niezwłocznie w przytomności wszystkich odwołać własnoręcznem pismem wszystko to, co napisał i powiedział, i potem dopiero pokornie prosić o to, coby Naczelnik dlań chciał uczynić, do czego gdyby się nie chciał dobrowolnie porozumieć, będzie miał do czynienia ze wszystkimi dwudziestu czterema, z każdym z osobna, nimby się zbliżył do Naczelnika«.

»Dwóch poniosło do Ponińskiego to poselstwo, którego wysłuchawszy i że było dwudziestu czterech, z uniesieniem zawołał: »ja jestem dwudziesty piąty, ja szanuję i czczę Naczelnika, jako naszego ojca, ja od niego tyle odebrałem dobrodziejstw i tylko rozpacz mnie do tego pobudziła, nie mogąc pokazać się w Polsce, aby mnie przekleństwa i wyrzuty nie ścigały«. Oświadczył się gotowym uczynić wolę zgromadzenia i przyrzekł być nazajutrz u Kościuszki z usprawiedliwieniem. Ci sami poszli mu nazajutrz towarzyszyć... Przyjął go Kościuszko poważnie, drżącego i pomieszanego w przytomności innych kilku Polaków i łagodnie z nim zaczął mówić, przez co Poniński nabrał śmiałości, którą niebawem aż do zuchwalstwa posunął; wtedy Kościuszko, nagle zwracając się ku niemu, z jaskrawem okiem zapytał go groźnie: »czy w samej rzeczy rozumiesz, że znieść nie mogę widoku pistoleta?« Struchlał Poniński i odtąd był najpowolniejszy; napisał zaraz sam odwołanie, oświadczając, »że co wprzód napisał, było skutkiem uniesienia, rozumiejąc, że Naczelnik wątpi o jego postępowaniu i honorze; i że ktokolwiekby tego użyć chciał, [on] będzie z nim miał do czynienia, jako z potwarcą!« Przestał na tem Kościuszko, ale gdy on prosił o zaświadczenie, jakie mieć

pragnął, wymawiał się stale, że prawdziwie o tem, co się stało po bitwie maciejowickiej, nie sumiennie poświadczyc nie mógł. Byli zaraz tacy, którzy zapewniali, iż Poniński był sądzony i oczyszczony: »więc tych tu świadectwo, rzekł, może ci być dostateczne;« on zaś powtarzał, że nie nie mogło zastąpić świadectwa Naczelnika, i przeszedłszy trwozę i zuchwałość nadaremnie, wpadł w żalność, rozwodząc się rzewliwie, iż mu nie prócz rozpaczy nie zostawało; będąc od wszystkich odpychany i nie znajdując nawet politowania. Tem ujął niektórych obecnych tak, iż prosili za nim, i Kościuszko, zastanowiwszy się nieco, skłonił się na koniec do dania mu pisma, w którym wyrażał: »iż co do bitwy maciejowickiej, w której Poniński nie znajdował się ze swoją dywizją, zaświadcza podług zeznania niektórych członków obecnych, iż był o to poddany [badaniu] komisji, której dowiódł nieodebranie dalszych rozkazów, i że ta komisja uznała go niewinnym«¹⁾.

Tak przedstawia tę rzecz Paszkowski, wogóle bardzo niechętnie usposobiony względem Ponińskiego. Zdaje się, że rozpacz tego ostatniego musiała mieć akcent prawdy, który przemówił do serca Naczelnika, a stąd i gwałtowność rozpaczającego dawała się tłumaczyć na korzyść jego, skoro Kościuszko nietylko zgodził się dać mu od siebie świadectwo oczyszczające, ale i sam to pismo wręczył autorowi *Obrazu historycznego i politycznego Europy*, hr. de Ségur, aby ten mógł w przyszłym wydaniu swego dzieła uczynić stosowną poprawkę. Ponińskiemu naturalnie o to najwięcej chodziło, ale zapewne nie przypuszczał, sądząc po szybkim następstwie trzech pierwszych wydań, że na czwarte wydanie trzeba będzie czekać przeszło lat dwadzieścia. Ukazało się ono bowiem dopiero w r. 1824 p. t. *Décade historique ou Tableau politique de l'Europe depuis*

¹⁾ Tamże 174—6.

1786 jusqu'en 1796 par Mr. le comte de Ségur — 4-ème édition. Paris MDDDXIV. I tu w drugim tomie na str. 264—5 ustęp, dotyczący Ponińskiego, był w ten sposób zmieniony: »On crut généralement alors que le prince Poninski, chargé d'empêcher le passage d'une rivière, l'avait livré aux Russes, et qu'il n'obéit point à l'ordre qu'il avait reçu de rejoindre l'armée avec sa division. Le généralissime, privé de ce secours fut attaqué à Maciejowice par le général Fersen...« i potem ogólnikowo podany przebieg bitwy.

Do tego ustępu był dodany przypisek, który tu nas najwięcej obchodzi, bo w nim znajdowało się autentyczne świadectwo Kościuszki, wydane Ponińskiemu. Dopisek był uastępujący:

«Le prince Poninski, accusé par l'opinion générale, fut depuis jugé et acquitté. L'impartialité, premier devoir d'un historien, m'oblige d'insérer ici une note, signée par le général Kosciuszko et par plusieurs autres généraux. Ce général et le prince Poninski ont remis tous deux cette attestation entre mes mains« ¹⁾.

Świadectwo Kościuszki. Je donne avec satisfaction le témoignage au prince Adam Poniński, ci-devant général au service de la république de Pologne, qu' à la bataille de Szczekocin et dans toutes les autres affaires dans lesquelles il a combattu sous mes ordres, il s'était conduit bravement avec bravoure. Quant à la bataille de Maciejowice, à laquelle il ne s'était pas trouvé avec sa division, j'atteste, d'après les informations de quelques-uns de mes compatriotes, présents à Paris, que pour sa conduite

¹⁾ »Książę Poniński, którego głos powszechny obwiniał o zdradę, był następnie sądzony i niewinny. Bezstronność, pierwszy obowiązek historyka, nakazuje mi umieścić tutaj notatkę, podpisaną przez generała Kościuszkę i kilku innych generałów. Ten generał i książę Poniński doręczyli mi obaj to zaświadczenie«.

à la dite bataille il a été soumis à une commission, à laquelle il a prouvé, que mes ordres ultérieurs ne lui étaient pas parvenus et que la commission l'avait trouvé innocent.

Fait à Paris, ce 19 brumaire an XII (11 Novembre 1803).

T. Kościuszko.

Présents attestons la signature:

Fr. Paszkowski, capitaine.

Xavier de Walewski.

Axamitowski, colonel, au service de France.

Zawadzki, chef de bataillon au service de France.

M. Piotrowski, ci-devant général de Pologne

B. Komorowski ¹⁾.

VI.

Apokryficzne pismo Kościuszki.

Otóż zobaczymy teraz, co to był za list Kościuszki do Ségura, o którym wspominał Zenowicz w swoim liście do Chodźki i który miał być pisany ręką Zenowicza pod dyktowaniem Kościuszki. Wydrukował go Chodźko w swoim

¹⁾ Przekład świadectwa Kościuszki. Z zadowoleniem daję świadectwo księciu Adamowi Ponińskiemu, bylemu jeneralowi w służbie Rzeczypospolitej polskiej, że w bitwie pod Szczekocinami i we wszystkich innych, w których walczył pod moimi rozkazami zachowywał się mężnie. Co się tyczy bitwy pod Maciejowicami w której wraz ze swoją dywizją nie wziął udziału, świadczę na podstawie wiadomości, udzielonych mi przez niektórych ziomków moich obecnych w Paryżu, że w sprawie niestawienia się w tej bitwie poddany był badaniu pewnej komisji, której dowiódł, że moje późniejsze rozkazy nie doszły rąk jego, i stąd komisja uznała go niewinnym. Dan w Paryżu, 19 brumaire r. XII (11 listop. 1803). T. Kościuszko. Autentyczność podpisu stwierdzamy obecni: Fr. Paszkowski, kapitan. Xawery Walewski. Axamitowski, pułkownik w służbie Francji. Zawadzki, dowódca bataljonu w służbie Francji. M. Piotrowski, b. jeneral Polski. B. Komorowski.



zbiornie dokumentów historycznych, który wydał w Paryżu r. 1862 pod pseudonimem hrabiego d' Angeberg, a pod tytułem: *Recueil des traités, conventions, manifestes etc. relatifs à la Pologne de 1762 à 1862*. Podam go tu w przekładzie polskim.

»Paryż 20 brumaire rok XII = 31 października 1803.

Panie Hrabio!

»Doręczając Panu w dniu wczorajszym pismo, dotyczące sprawy zachowania się p. Adama Ponińskiego w kampanji 1794, powinienem był wspomnieć jeszcze o jednym fakcie, odnoszącym się do nieszczęśliwej bitwy maciejowickiej, który chciałbym jak najprędzej wyjaśnić (qu'il me tarde d'éclaircir).

»Nieświadomość albo zła wola sprzysięgły się (s'acharment), aby mi wcisnąć w usta wyrażenie *finis Poloniae*, którego użyć miałem w dniu tym nieszczęsnym. Otóż przedewszystkiem już przed końcem walki byłem niemal śmiertelnie ranny i dopiero po dwu dniach, będąc już w ręku nieprzyjaciół, odzyskałem przytomność. Następnie, jeżeli wykrzyk podobny byłby nierozumny i zbrodniczy u każdego Polaka, to daleko bardziej byłby takim w moich ustach.

»Naród polski, powołując mię do obrony całości, niepodległości, honoru, sławy i wolności ojczyzny, wiedział dobrze, że nie jestem ostatnim Polakiem i że z moją śmiercią, czyto na polu walki, czy też gdziekolwiek indziej, Polska nie może i nie powinna się skończyć. Wszystko, cokolwiek od tego czasu Polacy zdziałali w przesławnych legionach polskich, i wszystko, co jeszcze w przyszłości uczynią dla odzyskania ojczyzny — przedstawia dostateczny dowód, że jakkolwiek my, żołnierze, poświęcający się za ojczyznę, jesteśmy śmiertelnymi, Polska jest nieśmiertelną. Nikomu przeto nie wolno używać, ani powta-

rzać haniebnych wyrazów (d'outrageante épithète): *finis Poloniae!*

»Cóżby powiedzieli Francuzi, gdyby po klęsce pod Rossbach w r. 1757 zawołał był marszałek Karol de Rohan, książę Soubise: *finis Galliae!* albo gdyby mu przypisano (si on lui faisait dire) powyższe słowa w jego życiorysach?

»Byłbym więc Panu obowiązany, gdybyś w nowym wydaniu swego dzieła zechciał pominąć (de ne pas parler) owo *finis Poloniae*, i mam nadzieję, że powaga Pańskiego imienia wpłynie na tych wszystkich, którzyby w przyszłości zechcieli powtarzać te wyrazy i przypisywać mi to bluźnierstwo, przeciw któremu protestuję z całej duszy«.

W końcu było kilka słów polecających dla oddawcy listu, Jerzego Zenowicza, którego Kościuszko nazywał »mon cousin et mon élève«.

Wyrażone tutaj uczucia patriotyczne w istocie odpowiadały uczuciom Kościuszki, przynajmniej w treści, jeżeli nie w formie, i tem się zapewne w sumieniu swoim usprawiedliwiali przed sobą autorowie tego fabrykatu politycznego. Ale sam fabrykat był z niesłychaną naiwnością skłcony. Bo jakże to? Kościuszko prosi Ségura, aby w nowym wydaniu swego dzieła nie wkładał mu w usta słów: *finis Poloniae*, których on w trzech pierwszych wydaniach ani myślał powtarzać! Szczególna zapobiegliwość, która służyć mogła tylko do odgrzewania legendy! Ale jeżeli fałszywie pojętym patriotyzmem kierowani autorowie liczyli na to, że swoja czy obca krytyka nie prędko się zdobędzie na zestawienie listu z różnemi wydaniem dzieła Ségura i na wykrycie, że rzekomy list Kościuszki, zwłaszcza gdy będzie umieszczony w poważnym zbiorze dokumentów historycznych, jest apokryfem, to się nie omylili. Apokryf aż do obecnej chwili, aż do ostatnich prac o Kościuszcze, utrzymał się w powadze dokumentu historycznego, i to tak w naszej, jak i zagranicznej historjografji, która się na

naszej opierała. Najdziwniejsza rzecz, że Korzon w swojej obszernej i tyle cennych szczegółów przynoszącej pracy o Kościuszcze, tak bezkrytycznie pomieszał autentyczne pismo Kościuszki wręczone Ségurovi (w sprawie Ponińskiego) z falsyfikatem Leonarda Chodźki, że mógł napisać o tym liście apokryficznym: »Séгур uczynił żądane sprostowanie w edycjach późniejszych dzieła swojego (w edycji 4-tej z r. 1824, na str. 264 tomu II-go«¹⁾. A tymczasem na stronie wskazanej przez Korzона jest tylko sprostowanie, dotyczące Ponińskiego, i umieszczony list Kościuszki w tej sprawie, ale o *finis Poloniae* taksamo nie ma najmniejszej wzmianki, jak i w poprzednich wydaniach tego dzieła Ségura i żadnego listu Kościuszki z protestem tam niema. Widocznie Korzon poszedł ślepo za Chodźką, nie zaglądając do książki Ségura, a ci, co po nim pisali o tej sprawie, polegali na powadze Korzона i nie sprawdzali jego cytatów.

To bezkrytyczne zaufanie Korzона dla Leonarda Chodźki jest tem dziwniejsze, że Korzon miał bardzo ważne powody nie dowierzać rzetelności tego historyka. Wszakże to ten sam Leonard Chodźko, i to już

¹⁾ *Kościuszko*, str. 449. W *Vademecum Kościuszkowskiem* Korzона, wydanem w »Kwartalniku Hist.« 1917 r. (rocznik XXI, zeszyt 4), w którym są zebrane rezultaty ostatnich badań nad życiem Kościuszki i które jest ostatniem słowem Korzона o Kościuszcze, panuje to samo bałamuctwo, w innych tylko wyrażone słowach: »Plotkę wprowadził do literatury europejskiej hr. Séгур, zamieszczając ją w poczytnem swem dziele »*Décade historique*«. Dowiedziawszy się o tem, Kościuszko zażądał natychmiast odwołania listem z d. 20 brumaire roku XII (31 października 1803 r.), co też autor chętnie uczynił, jak się przekonać można z późniejszych wydań dzieła, np. z r. 1824 w tomie II, na str. 264«. Ale ani Korzon, ani żaden z historyków, którzy w ostatnich czasach pisali o Kościuszcze, nie wyłączając Askenazego, nie skorzystał z tej możliwości i nie uwolnił historii od bałamuctwa, które w niej kwitło przez lat siedemdziesiąt.

po skomponowaniu swego apokryfu Kościuszkowskiego, wymyślił inną legendę, dotyczącą tym razem ojca Kościuszki, i w życiorysie Naczelnika, wydanym w *Żywotach narodowych z ostatnich lat stu* (Paryż 1859), twierdził, że ojca Kościuszki zabili jego własni chłopci, ponieważ był srogim dla nich, a twierdzenie to wprowadził potem Kostomarov do swojej *Historji upadku Polski* (Последние годы Речи Посполитої), przyprawivszy je odpowiednim sosem historjozoficznym, stąd zaś dostało się ono do wielkiej Encyklopedji rosyjskiej Brockhausa. Oto co pisał sam Korzon o tej sprawie na 46 stronie swojej monografji o Kościuszcze: »Zdaje się, że pierwszy Leonard Chodźko puścił w świat dziwną legendę, nie wymieniając jej źródła: »okropny wypadek z jego ojcem przyśpieszył wyjazd Tadeusza za granicę. Jakoż ojciec jego, człowiek popędliwego charakteru (tu Korzon stawia znak zapytania) i ufając w bezkarność, jakiej wówczas używała szlachta, tak srogo obchodził się z włościanami, iż ci, przyprowadzeni do rozpacz, zabili swego pana w r. 1768«. Powtórzył tę legendę K. Wł. Wójcicki, a Kostomarov nadal jej rozleglejsze zarysy, wiążąc z buntami ukraińskiemi, z rzezią humańską, ubarwił kilku szczegółami również niewiadomego źródła i zawnioskował, że wtedy właśnie Tadeusz miał odgadnąć tajemnicę upadku Polski. Niewłaściwość morału i niemożliwość historyczna faktu — pisze dalej Korzon — okazuje się już stąd, że Koliszczyzna wybuchła w dziesięć lat po śmierci Ludwika Tadeusza (ojca Kościuszki) i że w r. 1768 Tadeusz syn nie znajdował się wcale w stronach rodzinnych, a więc nie mógł być świadkiem ani morderstwa domniemanego, ani żadnej kary, wymierzonej jakoby na włościanach«.

Nie obchodzi nas tutaj tendencyjność Kostomarowa, który w swoich monografjach historycznych nie pogardza nawet świadectwami bajecznej *Historji Russów*, ani tem mniej bezgraniczna łatwowierność Wójcickiego, gotowego

bezkrytycznie powtarzać wszystko, co mu bibuła drukowana przyniesie, ale obchodzi nas stosunek Korzona do Leonarda Chodźki. Korzon, poważny historyk, cały oddany swemu przedmiotowi, znajduje w życiorysie Kościuszki, napisanym przez Chodźkę, krzyczący wymysł, wywracający chronologję a na niczem nie oparty, o zamordowaniu ojca Kościuszki przez chłopów, nazywa go dziwną legendą, a tak jest delikatny i ostrożny, że nie chce stanowczo twierdzić, iż to Chodźko pierwszy puścił w świat tę »dziwną legendę«, tj. ten gruby wymysł, i dodaje słówko »zdaje się«. Mniejsza i o to, ale jak mógł Korzon, po złapaniu historyka paryskiego na tak grubym fałszu, nie patrzeć mu pilnie na palce i nie sprawdzać autentyczności jego rzekomych dokumentów historycznych? Oto, co jest trudne do zrozumienia i do usprawiedliwienia. Wprawdzie na wiele lat przed Korzonom dał się tak samo oszukać Chodźce wielki pisarz francuski Juljusz Michelet¹⁾, ale temu ostatniemu, który był więcej poetą, niż historykiem, i nie miał szczególnych powodów niedowierzania Chodźce, łatwiej wybaczyć jego łatwowierność w tym względzie, niż Korzonowi, który chciał opierać swoją pracę o Kościuszcę na wyniku badań źródłowych. Toteż na Korzona głównie spada wina tego, że niedołącznie sklecony apokryficzny protest Kościuszki mógł się, w biały dzień 19-go i 20-go stulecia, utrzymać przez lat siedemdziesiąt.

Tak więc, jak wymyśloną była legenda o *finis Poloniae*, tak wymyśloną również i protestacja Kościuszki przeciw tej legendzie. Nie wiemy, czy się z tą legendą spotkał kiedykolwiek w swoim życiu, ale to pewna, że

¹⁾ Juljusz Michelet w cytowanej już raz książeczce: *Pologne et Russie, légende de Kościuszko* (1852), pełnej gorącego współczucia dla Polski i Kościuszki, zbijając legendę o *Finis Poloniae* na podstawie apokryficznej protestacji Kościuszki, bardzo się wiele przychylny do rozpowszechnienia samej legendy i protestującego apokryfu.

nie znalazł jej w żadnym poważnym dziele historycznym, ani w żadnym poważnym dzienniku, a jeżeli wpadła mu w oczy w jakiejś gazecie prowincjonalnej, to mógł ją traktować jako plotkę, na którą nie warto zwracać uwagi i odpowiadać.

Należy dodać, że ani Despot Zenowicz w swojej *Défense de la Pologne*, wydanej w dziewięć lat (1812) po rzekomej protestacji Kościuszki, ani Leonard Chodźko w swojej *Biographie du général Kościuszko* (Fontainebleau 1837) nic jeszcze nie wiedzą o wrogiej legendzie, bo nie odpierają jej wcale i nic nie mówią o owej protestacji Kościuszki.

VII.

Juljan Niemcewicz. Jego »dziurawa« pamięć.

Ale jeżeli dziwnem jest tak długie utrzymywanie się apokryfu na powierzchni historii w białym dniu krytyki historycznej, to jeszcze dziwniejszym jest fakt, że jedyne pewne świadectwo dotyczące chwili, bezpośrednio poprzedzającej tę, w której Kościuszko otrzymał cięcie w głowę i utracił na długi czas przytomność, świadectwo najważniejsze, jakie może być, bo będące wyznaniem samego bohatera, że to jedyne ważne świadectwo o chwili tak tragicznej, wypowiedziane jeszcze przed 120 laty, a przed sześćdziesięciu wydrukowane, utonęło zupełnie w niepamięci ludzkiej i teraz trzeba je wydobywać z głębokich fal zapomnienia, jako rzecz zupełnie nową.

Przechodzimy do osoby, już parę razy wspomianej w tej pracy, która czynny udział brała w bitwie maciejowickiej, a była jedną z najbardziej bliskich Naczelnikowi — nie z pokrewieństwa duchowego, bo tego nie było,

ale przez sam tok zdarzeń — do Juljana Niemcewicza, Przyjaciel i adjutant Naczelnika, także ranny, choć nie tak ciężko, w bitwie maciejowickiej, towarzyszył jego niewoli i niedoli, którą przebywali razem choć z osobną w więzieniu petersburskim przez dwa lata, umysł żywy ale nie głęboki, należał do ludzi, dla których ciągle zapisywanie wrażeń i wypadków bieżących było potrzebą duszy, a stało się nałogiem, który go nie opuścił aż do ostatnich chwil życia. Toteż zostawił po sobie tyle wspomnień, pamiętników, opisów podróży, że dotychczas nie zdołano tego wszystkiego zebrać i uporządkować.

Najważniejszymi z tych utworów pamiętnikowych Niemcewicza, z których głównie czerpali historycy są: 1) *Notes sur ma captivité à Saint-Pétersbourg en 1794, 1795 et 1796*, rzecz pisana w r. 1800 w Ameryce, a dająca opis wypadków od bitwy maciejowickiej do uwolnienia więźniów polskich przez cesarza Pawła; wydał ją Wydział Tow. Historyczno-literackiego (właściwie Karol Sienkiewicz) w Paryżu wkrótce po śmierci Niemcewicza w r. 1843; i 2) *Pamiętniki czasów moich*, pisane już po roku 1831, na emigracji, a więc w późnej starości (»w ostatnim szczeblu starości mojej zaczynając to dzieło« — powiada autor), a wydane w r. 1848 przez synowca autora, Karola Niemcewicza. Stosunek jednego utworu do drugiego jest taki, że sędziwy autor, pisząc swoje polskie pamiętniki, miał pod ręką owe francuskie *Notes*, pisane za świeża w Ameryce, w kilka lat po opisywanych wypadkach, i czerpał z nich pełną dłoń. Stąd też więzienny okres jego życia od wzięcia w niewolę pod Maciejowicami aż do wyzwolenia i wyjazdu z Petersburga, tak we francuskim, jak i w polskim pamiętniku przedstawiony jest bardzo żywo, dokładnie, szczegółowo. Ale *Pamiętniki czasów moich* obejmują całe prawie życie Niemcewicza (aż do r. 1829) i tu, poza okresem więziennym, nie miał autor innych źró-

del prócz własnej osłabionej pamięci, na którą ciągle slyszymy skargi w *Pamiętnikach*. Miał on wprawdzie zwy-
czaj, jak już wspomniałem wyżej, zapisywania na świeżo
wrażen z podróży, których tyle odbył w swoim życiu, i ten
obfity materiał pamiętnikowy trzymał przy sobie aż do
upadku powstania 1831 r., ale gdy po kapitulacji War-
szawy musiał nagle razem z sejmem i wojskiem opuścić
Warszawę, zostawił to wszystko razem z całym swoim
mieniem ruchomem na łaskę i niełaskę losów.

W *Pamiętnikach* na str. 212 czytamy: »Nie jestem
w stanie opisywać powstania Kościuszki z pamięci, pozba-
wiony potrzebnych mi materiałów«, a na str. 220 znajdu-
jemy uwagę: »Opisywania moje odtąd będą dokładniejsze,
niespodziewanym bowiem przypadkiem zachowane od gra-
bieży moskiewskiej notatki więzienia mego na Moskwie,
tu mi (t. j. do Paryża) cudem przesłane zostały. Z tych
ja to, co poniżej, wyciągam«. (Jest to właśnie ów rękopis
francuski, który potem wydano p. t. *Notes sur ma captivité*).
Ukończywszy ten obszerny wyciąg, pisze dalej na str. 309:
»Długo rozciągnąłem się nad opisaniem uwięzienia mego
w twierdzy ŚŚ. Piotra i Pawła, bo ze wszystkich ręko-
pisów i notatek, to jedno pozostało w całości«. Na początku
trzeciej części *Pamiętników*, obejmującej wypadki od wy-
jazdu z Petersburga do r. 1829, znajdujemy żalną
wzmiankę autora, że utracił wiele rękopisów, »osobliwie
dzienniki moje podróżne« — została mu tylko »stara, dziu-
rawa, jak rzeszoto, pamięć«. Podobne skargi powtarzają
się i dalej. Na str. 319 czytamy: »Zapisywałem podług
zwyczaju mego wszystkie pierwszej żeglugi mojej na
oceanie Atlantyckim przygody« (podróż z Kościuszką do
Ameryki). Zostały się one z resztą rękopisów moich
w Warszawie, Bóg wie, co się z niemi stało«. Na str. 357
uwiadamia czytelnika, że jego podróż do Nantes w r. 1804,
a potem druga podróż do Ameryki opisane były »w stra-

conym już podobno dzienniku moim«. Na str. 363 mówi o swoim opisie podróży do Niagary, który został w Warszawie wraz z innymi rękopismami. Wreszcie na str. 408 jeszcze raz wspomina o swoich papierach zostawionych w Warszawie i dodaje: »był tam i Dziennik tego nibyto sejmu koronacyjnego: pewnie zaginął«.

Ale wymienione tu przez Niemcewicza dzienniki i opisy podróży nie wyczerpują bynajmniej tego, co zostało po nim z utworów pamiętnikowych. Przekonać się o tem można z bezimiennego artykułu, umieszczonego w *Przeglądzie Poznańskim* z r. 1858 (T. XXVI) p. t. *Wiadomość o rękopismach pozostałych po Julianie Ursyniu Niemcewiczu*. Podług tej *Wiadomości* rękopisy Niemcewicza w chwili jego śmierci znajdowały się w czterech miejscach: »naprzód w Paryżu wszystkie te, które autor Wydziałowi historycznemu w dziedzictwie zostawił; inne, które się stały własnością księcia Adama Czartoryskiego, inne w odpisach lub we własnoręcznych egzemplarzach pozostałe w Rogalinie u Edwarda hrabi Raczyńskiego, nakoniec część ich znajdowała się w Warszawie w ręku jednej z osób, związkami krwi z autorem związanych« (str. 35). Kto jest ta osoba, autor *Wiadomości* nie wymienia; może to jest ta sama, którą w innym miejscu (na str. 43) oznacza pierwszemi literami A. P. (Aleksander Przeździecki?), mówiąc o pewnym dzienniku Niemcewicza z lat 1802—1807, że jest »przepisany z jego własnego rękopismu, zostawionego u A. P. w Warszawie«. Bądź co bądź, to pewne, że pisząc *Pamiętniki czasów moich*, mógł czerpać tylko z tych pamiętnikowych utworów własnych, które były wówczas w Paryżu, a te, z wyjątkiem *Notes sur ma captivité* i wydanych później przez Januskiewicza *Podróży historycznych*, odnosiły się prawie wyłącznie do czasów po rewolucji listopadowej. Trzeci jeszcze wyjątek stanowi rękopis z bardzo zaciekawiającym napisem: »Pa-

miętniki warszawskie do odpieczętowania roku 1900«. Znajdowały się wtedy w bibliotece księcia Czartoryskiego ¹⁾). Co się tyczy rękopisów zostawionych w Warszawie, znajdujemy w artykule, o którym mowa, taką tylko krótką wzmiankę: »Co obejmowały rękopisma w Warszawie pozostałe i w czyje ręce przeszły, wiadomo nam nie jest dokładnie« (str. 36).

Najszczegółowiej omówione są rękopisy, zachowane w bibliotece rogałińskiej. Widocznie autor artykułu miał je wszystkie w ręku, odczytywał i, charakteryzując, podnosił w nich to, co mu się wydawało godniejszym uwagi. Jest tych rękopisów kilkanaście. Kilka z nich zawiera w sobie różne utwory literackie Niemcewicza, w innych są przeważnie dzienniki jego i opisy podróży, w różnych czasach odbywanych, na których brak tak narzekał przy pisaniu *Pamiętników czasów moich*. Nas tu obecnie obchodzi jeden tylko z tych pamiętnikowych utworów, niezmiernie ważny dla charakterystyki Kościuszki i jego tragedji maciejowickiej; ale zanim zaznajomię z nim czytelnika, należy się zastanowić nad tem, skąd się on wziął w Rogalinie, skąd się wogóle wzięły rękopisy Niemcewiczowskie w bibliotece rogałińskiej? Pewną wskazówkę w tym względzie daje nam ów bibliograficzny artykuł *Przeglądu Poznańskiego*. Na str. 36, w przypisku, znajdujemy wiadomość, że »nabyte one zostały wraz z jedną częścią biblioteki Niemcewicza przez ś. p. Konstancję z Potockich hr. Raczyńską, którą wierna do zgonu przyjaźń łączyła z autorem«. Ta wiadomość może trochę dziwić, gdy się

¹⁾ Obecnie znajdują się w bibliotece XX. Czartoryskich w Krakowie. Tytuł rękopisu: *Pamiętnik życia Juljana Ursin Niemcewicza*; na boku notatka autora, kiedy został rozpoczęty: »d. 2 listopada 1823 w 51 lat po wzięciu przez konfederatów Stan. Augusta«. Jest to wcześniejsza warszawska redakcja dwu pierwszych części *Pamiętników czasów moich*.

zważy, że hr. Raczyńska była rodzoną córką Szczęsnego Potockiego, którego Niemcewicz tak napiętnował w *Biblii Targowickiej*. Bliższe choć niedostateczne wyjaśnienie można wyciągnąć z korespondencji Niemcewicza, dodanej do życiorysu jego, opracowanego przez ks. Adama Czartoryskiego¹⁾. W tej korespondencji oprócz listów do księcia są także listy Niemcewicza do Edwarda Raczyńskiego i jego żony. Otóż w liście z 26 września 1835 pisze Niemcewicz do sławnego mecenasa literatury i nauki polskiej w ten sposób (list wyjątkowo pisany po francusku): »Madame la comtesse, dans sa dernière lettre, me propose l'achat de mes manuscrits pour 300 ducats. Je ne marcherai pas avec mes amis, sur tout lorsque ces documents si précieux doivent être conservés dans un musée aussi important que celui, que vous avez fondé. J'en excepte cependant les manuscrits de ma main, que je désirerais déposer chez mon neveu Thadée; je souhaiterais également que la somme, qui m'est offerte, puisse m'être envoyée le plus tôt possible: les délais à un vieillard de soixante dix-huit ans ne conviennent plus«²⁾. W innym liście, pisanym na rok przed śmiercią (z datą 8 stycznia 1840 r.), Niemcewicz przesyła na żądanie Raczyńskiego epitaphium dla jego żony. »Ile zwątlona wiekiem głowa i kulawa muza moja sklecić wiersz potrafiły, posyłam go na rozkaz Wasz.

¹⁾ *Żywot J. U. Niemcewicza* przez X. Adama Czartoryskiego. Wydanie Biblioteki polskiej w Paryżu. Księgarnia B. Behra. Berlin-Poznań, 1860.

²⁾ »Pani hrabina w ostatnim swoim liście proponuje mi zakupienie moich rękopisów za 300 dukatów. Nie będę się targował z przyjacielami, zwłaszcza, gdy te tak cenne dokumenty mają być przechowywane w muzeum przez Was założonem, a mającem tak doniosłe znaczenie. Wylączę tylko rękopisy, pisane moją własną ręką, które chcę albym złożyć u mego synowca Tadeusza; pragnąłbym również, aby suma ofiarowana mi mogła być jaknajprędzej mi przysłana, bo odraczenie nie jest w interesie starca, liczącego lat 78«.

Najlepsze serce, życie zawsze czynne,
Nigdy ginąć nie powinne,
Wzór przyjaciółki, wzór najlepszej żony
W tym tu glazie wyrażony.
Bodajby w trwaniu wiekami niezłomnym
Służył za przykład potomnym.



Na spodzie: Konst. z P. Ra...«

Otóż na podstawie zebranych tu wiadomości, musimy wnioskować, że między rękopisami, które zakupiła wówczas u Niemcewicza za 300 dukatów hr. Raczyńska, znajdowały się i owe zostawione w Warszawie rękopisy, na których brak tak narzekał Niemcewicz przy pisaniu *Pamiętników czasów moich*. Wprawdzie w pierwszym z przytoczonych listów do Raczyńskiego Niemcewicz wyrażał życzenie, aby to, co było pisane jego własną ręką, a więc między innymi rzeczami i pamiętnikowe jego utwory, było wyłączone ze sprzedanego przezeń Raczyńskim zbioru rękopisów i złożone u jego synowca Tadeusza, ale nie znaczyło to, że wzbraniał im odpisywania tych własnoręcznych pism swoich; wiemy przecież z cytowanego już artykułu bezimiennego *Wiadomość o rękopismach pozostałych po J. U. Niemcewiczu* (Przegląd Poznański z r. 1858, T. XXVI), że w chwili śmierci jego znajdowały się w Rogalinie niektóre pisma jego w odpisach. Co więcej, wiemy z tego samego źródła, że były tam wówczas i autografy jego, co wyraźnie wskazuje, że pierwotne zastrzeżenie Niemcewicza, dotyczące rękopisów własnoręcznych, utraciło w jakiś sposób moc obowiązującą¹⁾.

¹⁾ »Rękopisina te — pisze bezimienny autor *Wiadomości* — jedne są własnoręczne, drugie w odpisach staraniem Edwarda hr. Raczyńskiego dokonane; żalować przychodzi, iż niektóre z tych odpisów tak niewprawnej i niedbałej ręce powierzone zostały, iż z trudnością można by z nich korzystać, chcąc je do druku podać». *Przegląd Poznański* T. XXVI, str. 36—37.

VIII.

Zapomniany pamiętnik. — Rozwiązanie legendy.

Rękopis Niemcewicza, zachowany w Rogalinie, na który chcę szczególną zwrócić uwagę, jest opisem podróży jego z Petersburga do Sztokholmu, odbytej razem z Kościuszką w r. 1796. Czy on się tam zachował w odpisie, czy w autografie, tego nie wiemy. Tytuł ma: *Dziennik mojej podróży*. Rzec pisana po francusku, ale znamy ją dotychczas tylko w przekładzie polskim, którego w r. 1858 dostarczył *Przeglądowi Poznańskiemu* syn Edwarda Raczyńskiego, Rogier, właściciel Rogalina, i który wydrukowany został w XXV tomie tego pisma. Pomimo, że od wydrukowania jego upłynęło już 62 lata, umiał on się tak dobrze schować między różnemi artykułami *Przeglądu* że dotychczas uszedł uwagi historyków, którzy pisali o Kościuszcze. *Dziennik* zaczyna się od chwili, do której doprowadzone były *Notes sur ma captivité* i druga część *Pamiętników czasów moich*, t. j. od chwili wyjazdu Niemcewicza i Kościuszki z Petersburga. Opowiedziawszy po krótko, jak przejechali przez stolicę nadnewską aż za rogatki, dokąd z rozkazu cesarza Pawła odprowadzał ich adjutant cesarski, Nelidow, i gdzie ich pożegnał, tak pisał dalej Niemcewicz:

•Od owego nieszczęśliwego dnia, w której naszej wolności pozbawieni zostaliśmy, to jest od 26 miesięcy, ujrzeliśmy się po raz pierwszy bez świadków. Obejrawszy się naokoło, czyli kto z tyłu lub obok pojazdu nie podsłuchuje nas, zaczęliśmy mówić z sobą otwarcie o niewoli naszej ojczyzny, o naszych osobistych cierpieniach i o tem wszystkim, co się do nich ściągało. Kościuszeko dwa zwierzania mi uczynił, które tu umieszczę. Podczas bitwy

maciejowickiej, gdy już wszystko było stracone i gdy Kozacy już, już go uchwycić mieli, włożył on pistolet w usta, pociągnął za cyngiel, lecz krucica nie wypaliła. W początkach zaś swego uwięzienia w fortecy petersburskiej tak mu życie było zbrzydło, że chciał się głodem umorzyć. Przez pewien przeciąg czasu żywił się tylko kilkoma łyżkami zupy, czem tak skurczył sobie wnętrzności i tak się osłabił, iż co chwila śmierci jego oczekiwano. Wtenczas to przysłano mu poczciwego Rogersona, lekarza dworskiego, który po użyciu największych sztuki swojej wysiłek, życie mu uratował, lecz nie zdołał żołądka jego do porządku przyprowadzić i dziś jeszcze dwie filiżanki kawy i uncja mięsa z drobiu stanowią całe jego pożywienie¹⁾.

Potem następuje bardzo szczegółowy i bardzo zajmujący opis podróży zimowej przez Finlandję do Sztokholmu, kilkanaście razy obszerniejszy, a stąd i szczegółowszy od tego opisu, jaki jest podany przez sędziwego autora z pamięci, w czterdzieści lat po wypadkach, w *Pamiętnikach czasów moich* (trzem niewielkim stronicom *Pamiętników* odpowiadają 22 duże stronicie *Przeglądu*). Ale o ten opis, który podajemy w *Dodatku*, jako rzecz zupełnie nieznaną, t. j. zupełnie zapomnianą a niezmiernie cenną, obecnie tu nie chodzi, tylko o dwa owe zwierzenia Kościuszki, które rzucają nowe światło na tragedję maciejowicką, a raczej na tragedję, jaka się odgrywała w duszy Naczelnika w chwilach poprzedzających klęskę.

Kościuszko przed wybuchem powstania 1794 r., znając dobrze materialne i duchowe zasoby narodu i konstelację polityczną Europy, nie miał ufności w powodzenie, w danej chwili, orężnej rozprawy z Moskalami i dlatego nie chciał przyjmować naczelnego dowództwa, które naród z całą ufnością i zapalem w jego ręce składał, pomny

¹⁾ *Przegląd Poznański* 1858. T. XXV, str. 438—9.

jego zwycięstw w obronie Konstytucji 3-go maja. W tem są zgodne wszystkie świadectwa historyczne. Ale kiedy mu przedstawiono najdowodniej, że powstanie tak czy owak, to jest jeżeli nie pod jego, to pod czyjś innem dowództwem, musi wybuchnąć i że żadne inne imię nie zdola wzbudzić tyle ufności w narodzie, co jego, uznał za swój obowiązek poddać się woli powszechnej i stanąć na czele powstającego narodu, aby nie zmniejszać szans jego zwycięstwa. Czuł też niewątpliwie, że dla przyszłości narodu gorszą od przegranej rzeczą byłoby bierne poddanie się najeźdźcom, polityka, której przedstawicielem był Stanisław August, i dlatego, znalazłszy na rynku krakowskim dnia 24 marca 1794 r. niewielką garstkę tych, z którymi miał rozpocząć powstanie, powiedział z cicha do kilku bliżej stojących zaufanych swoich: »zamało nas, panowie bracia, aby zwalczyć trzy mocarstwa, ale zawždy dosyć, żeby bez czi nie zginąć«¹⁾. I w pierwszym uniwersale do narodu, tegoż dnia wydanym, tak kończył swoje wezwanie do powstania: »Biorę z wami, ukochani koledzy, za hasło: Śmierć albo zwycięstwo! Ufam wam i temu narodowi, który zginąć raczej postanowił, aniżeli dłużej jęczeć w haniebniej niewoli«. Naturalnie przez wyrazy »ten naród« rozumiał Kościuszko nie cały naród ze wszystkimi jego nieuświadomionemi warstwami, ale tych wszystkich patriotów, którzy go powoływali do objęcia naczelnej władzy. Otóż to hasło: Śmierć albo zwycięstwo! w zastosowaniu do całego narodu niemożliwe, — w zastosowaniu do pojedynczej osoby nie było dla Kościuszki nieobowiązującym frazesem. Ponieważ podjął i rzucił takie hasło, chciał mu pozostać wiernym i postanowił nie przeżyć klęski powstania, któremu przewodził. Było to zupełnie zgodne

¹⁾ Stan. Wodzicki: *Wspomnienia z przeszłości*. Kraków 1874, str. 329.

z jego charakterem, w którym nie było rozdziału między słowem, przekonaniem a czynem, a jeżeli niekiedy względ na dobro przyjaciół lub narodu (jak np. w sprawie przyjęcia dobrodziejstw z ręki cesarza Pawła) zmuszał go do odstępstwa od tej zasady, stawało się ono dla niego źródłem najgłębszych cierpień moralnych. Więc kiedy ujrzał zupełny pogrom swojego wojska i widział, że za chwilę musi się dostać w ręce kozaków, goniących za nim, wyjął krucicę, włożył w usta i pociągnął za cyngiel. Krucica nie wypaliła, a wtem nadbiegli kozacy i zadali mu ciężkie rany, które mu odebrały przytomność. Wszystko to stało się błyskawicznie, ale na szczęście została Kościuszcze pamięć tej chwili i przekonanie, że jeśli nie spełnił tego, co zapowiadał w uniwersale, co przyrzekł sobie i o czem napomykał innym, to jest, jeżeli doznawszy klęski został przy życiu i znalazł się w rękach wrogów, to stało się to nie z winy jego woli, tylko z winy przypadku. Pamięć o tem niewątpliwie stanowiła pewną ulgę dla niego w strasznych udręczeniach fizycznych, a straszniejszych jeszcze moralnych, przez jakie przechodził w swojej długiej podróży do Petersburga i podczas dwuletniego tam więzienia. Więc kiedy się znalazł, po raz pierwszy od owej tragicznej chwili, zupełnie sam na sam z przyjacielem, uczestnikiem klęski i niewoli, uczuł potrzebę zwierzyć się mu z tego, ulgę przynoszącego, wspomnienia. Ale Niemcewicz, którego natura była zupełnie różną od natury Kościuszki, nie zrozumiał wagi tego zwierzenia, przyjął je, jak płyta fotograficzna przyjmuje każdy obraz, który na nią padnie; zapisał wiernie na papierze, ale nie utkwiło mu ono pomimo swego głębokiego znaczenia w pamięci i, kiedy się rozstał z tym fragmentem swego pamiętnika podróży (układanego, jak się zdaje, z luźnych notat z podróży w Sztokholmie), zupełnie zapomniał o tych zwierzeniach Kościuszki i nie wprowadził ich ani do *Notes sur*

ma captivité, co zresztą da się usprawiedliwić względami chronologii, ani do *Pamiętników czasów moich*, pisanych w starości, które obejmowały i podróż z Petersburga do Szwecji. A ponieważ fragment owej podróży, drukowany w r. 1858 w *Przeglądzie Poznańskim*, nie zwrócił na siebie niczyjej uwagi, więc owe zwierzenia Kościuszki, właściwie dopiero dzisiaj, po 124 latach od ich wypowiedzenia, wychodzą na jaw, na horyzont historyczny, aby rzucić nowe światło na tragedję Kościuszki pod Maciejowicami i rozwiązać legendę, z tą tragedją związaną.

Więc nie wykrzykiem: *Finis Poloniae* kończyła się owa tragedia, ale gestem Naczelnika, gestem, który wskazywał, że chce być wiernym przyjętemu wraz z innymi patriotami hasłu: Śmierć lub zwycięstwo! i nie chce przeżyć klęski narodu.

Należy jeszcze dodać, że to zwierzenie raz tylko wyszło z ust jego, w szczególnej chwili rozrzewnienia, gdy się znalazł po raz pierwszy po odzyskaniu wolności sam na sam z towarzyszem niedoli. Nie powtórzył go potem nikomu, nawet Paszkowskiemu, którego tak lubił, bo gdyby było inaczej, Paszkowski nie omieszkalby tego szczegółu wprowadzić do swoich *Dziejów Tadeusza Kościuszki*, zwłaszcza, że go do tego pobudzałyby bardzo ważna okoliczność przy opowiadaniu sprawy z Ponińskim w Paryżu: wszak Poniński w drugim liście do Kościuszki przypominał z wyrzutem słowa jego, że ma pistolety, które go od niewoli ochronią¹⁾. Widocznie Kościuszko rozumiał, że wyjawiać przed światem swój zamach na własne życie, ażeby okazać, że został wiernym przyrzeczeniu złożonemu wobec narodu, zamach, udaremniony przypadkiem, mógłby się wydawać prózną chępliwością, i milczał, a w tem dostojnem milczeniu malowała się dusza wielkiego obywatela

1) Paszkowski: *Dzieje Tad. Kościuszki* str. 173.

I tu jeszcze raz warto zwrócić uwagę na stanowisko dwu naszych największych poetów względem Kościuszki, bardzo charakterystyczne. Słowacki brał z legendy motyw, w którym się odbił własny jego pesymistyczny pogląd na naród. Mickiewicz, podając portret Kościuszki w *Panu Tadeuszu*, uwydatnił w nim moment największego podniesienia ducha, moment, budzący wiarę w przyszłość narodu, a odpowiadający własnej wierze poety; a przenosząc do przysięgi to, czego w przysiędze nie było, ale co było we współczesnym uniwersale Naczelnika («Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów — Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów — Albo sam na nim padnie»), chwycił najistotniejszą treść duszy bohatera i przeczuł to, o czym sam nie wiedział, co dziś dopiero występuje przed nami, jako fakt historyczny, że tylko przypadkiem się to stało, iż Kościuszkę, wierny przyjętemu hasłu: Śmierć albo zwycięstwo! nie odebrał sobie życia przed dostaniem się w ręce wroga pod Maciejowicami.

DODATEK.

DZIENNIK MOJEJ PODRÓŻY.

(Rzecz drukowana w *Przeglądzie poznańskim* t. XXV, 1858 r., p. n. *Podróż Juliana Ursyna Niemcewicza z Petersburga do Ameryki w r. 1796; z francuskiego oryginału na język polski przetłóżona*).

Opuściliśmy Petersburg 10 grudnia 1796 roku. Mostowski, Wawrzecki¹⁾ i kilku innych przyjaciół odwiedziło nas jeszcze raz przed wyjazdem naszym. Przyjaźń wzmocniona wspólnością nieszczęść i długimi cierpieniami, myśl rozdziału, może wiecznego, bardzo bolesnem uczyniły pożegnanie nasze. Doktor Rogerson²⁾, któremu mój przyjaciel jeneral Kościuszko winien był życie, przybył gdyśmy do pojazdu siadali — uściśkał on swego pacjenta i udzielił mu jeszcze rad ostatnich, a nadto dał mu na drogę paczkę z lekarstwem, krople, proszki i t. d. Wyjechawszy z wspaniałej dzielnicy admiralicji, przebyliśmy Nowę i znaleźliśmy się w przeciwległej części miasta, której drewniane domy, wyglądające na chaty, tak sprzeczny przedstawiają widok w porównaniu z temi wspaniałemi gmachami, któreśmy podziwiali na przeciwnym brzegu. Gdyśmy przebyli rogatki, pan Ne-

¹⁾ *Mostowski Tadeusz*, jeden z najgorliwszych i najświetlejszych działaczy patriotycznych z czasów Konstytucji 3-go maja, i *Wawrzecki Tomasz*, po bitwie maciejowickiej obrany Naczelnikiem narodu, po kapitulacji Warszawy zostali uwięzieni i wywiezieni do Petersburga, gdzie przebywali w więzieniu aż do wstąpienia na tron Pawła I.

²⁾ *Doktor Rogerson*, rodem Anglik, był nadwornym lekarzem naprzód przy Katarzynie II, potem przy Pawle I i poznawszy zbliska charakter Kościuszki, żywił uczucia głębokiej czci dla niego.

lidow, adjutant cesarski, którego monarcha przysłał był dla odprowadzenia za miasto jenerała, pożegnał nas. Kościuszko prosił go, aby zechciał być tłumaczem jego wdzięczności najwyższej za wszystkie dobrodziejstwa Najjaśniejszego Pana i wszystkie dowody szlachetności i łaski, któremi go obsypał¹⁾. W tej to właśnie chwili spostrzeżliśmy, że nam zginął chiński szlafrok jenerała.

Od owego nieszczęśliwego dnia, w którym naszej wolności pozbawieni zostaliśmy, to jest od 26 miesięcy, ujrzelismy się po raz pierwszy bez świadków. Obejrzawszy się naokoło, czyli kto z tyłu lub obok pojazdu nie podsłuchuje nas, zaczęliśmy mówić z sobą otwarcie, o niewoli naszej ojczyzny, o naszych osobistych cierpieniach i o tem wszystkim, co się do nich ściągało. Kościuszko dwa zwierzenia mi uczynił, które tu umieszczę. Podczas bitwy maciejowickiej, gdy już wszystko było stracone, i gdy Kozacy już, już go uchwycić mieli, włożył on pistolet w usta, pociągnął za cyngiel, lecz krucica nie wypalila. W początkach zaś swego uwięzienia w fortecy petersburskiej tak mu życie było zbrzydło, że chciał się głodem umorzyć. Przez pewien przeciąg czasu żywił się tylko kilkoma łyżkami zupy, czem tak skurczył sobie wnetrzności i tak się osłabił, iż co chwila śmierci jego oczekiwano. Wtenczas to przysłano mu pocziwego Rogersona, lekarza dworskiego, który po użyciu największych sztuki swojej wysileń życie mu uratował, lecz nie zdołał żołądka jego do porządku przyprowadzić, i dziś jeszcze dwie filiżanki kawy i uncja mięsa z drobiu stanowią całe jego pożywienie.

Gościniec, który prowadzi do Finlandji, przechodzi przez okolicę pustą, jałową, najsmutniejszą z tych wszystkich, które stolicę otaczają. Nie ujrzysz w niej ani domów wiejskich, ani ogrodów, nie spotkasz na drodze ani pojazdów, ani wozów, tak licznych w bliskości miast wielkich; wzrok podróżnego zatrzymuje się tylko na skarłowiałych sosnach, lub na ulamkach skalistych. O piętnaście werstw spotkaliśmy pułk piechoty wüburgskiej²⁾, który otrzymał rozkaz przeniesienia się na kwaterę do Moskwy. Zimno będzie tym panom, mówię o żołnierzach, bo co do oficerów, wiadomo jest, jak wygodnie

¹⁾ *Cesarz Paweł I*, który nienawidził swojej matki Katarzyny II, zaraz po jej śmierci nie tylko wyzwolił Kościuszkę z więzienia, ale mu sam to wyzwolenie oznajmił i obsypał go wielu rozmaitego rodzaju darami, do których należała i wielka karetka podróżna.

²⁾ *Wyborg* (w pierwodruku błędnie Wüburg albo Wübourg), jest to najważniejsze miasto w Finlandji południowo-wschodniej, która od pokoju w Nystadt (1721) stale należała do Rosji.

podróżują. Cóż to za mnóstwo pojazdów, koczów, woźnic, kibitek które postępują za oddziałem wojsk rosyjskich, tak w czasie wojny jak w czasie pokoju. Bardzo tu obficie jest śniegu, nasz dom, to jest nasz pojazd, jest wygodny lecz bardzo ciężki, ledwieśmy tego pierwszego dnia jedną stację ujechali. Gdyśmy na niej stanęli, wszczeła się kłótnia między naszymi aniołami stróżami¹⁾ a poczmistrzem, mówiono, że się bez policzków nie obeszło. Zgoda nastąpiła bez krwi przelewu. Libiszewski, czekając na wieczerzę, śpiewał nam i grał na gitarze²⁾. Siedliśmy nakoniec do obiadu czy do wieczerzy, jak się komu podoba. W nocy przebudzony zostałem trzy czy cztery razy wizytą kilku królików. Saniczka z pięcioma czy sześcioma króliczkami upodobala sobie spacer po mojem ciecie, z trudnością się jej pozbyłem. O czwartej obudziłem się, szczęśliwy, że już nie byłem w więzieniu.

Chociaż byliśmy o jedną tylko stację od Petersburga, już nie widzieliśmy nigdzie Moskali, już ich mowy prawie nie słyszeliśmy. Gospodarz był Niemiec, gospodyni Niemka, służba cała, równie jak ludność, składała się z Finnów. Czyż to nie jest bardzo szerególnem, że stolica najobszerniejszego państwa w świecie otoczona jest prowincjami cudzoziemskimi; Finlandja, Inflanty tyle mają podobieństwa w mowie, w wierze, w obyczajach do Rosjan co i do Francuzów. Czemże to jest to państwo? Co za spieszny wzrost jego sił, jego przewagi w Europie, czemże było w zeszłym stuleciu? czyż nie przypomina złudzenia i przemijającej wspaniałości widowiska teatralnego, — może też równie krótko jak to widowisko trwać będzie.

Dwudziestego wyjechaliśmy bardzo rano. Śnieg ogromny, zimno niezmierne, na pierwszej stacji złamał się nam dyszel, posty-

¹⁾ Kapitan *Karpeen* (raz w pierwodruku także *Korpeen*) i major *Udom*, jako znający dobrze Finlandję, mieli polecenie od cesarza Pawła, troskliwego o zdrowie i wygody Kościuszki, towarzyszyć temu ostatniemu aż do Szwecji i usuwać wszelkie trudności w ciężkiej podróży zimowej. Dlatego nazywa ich Niemcewicz tu i w innych miejscach pamiętnika »naszymi aniołami stróżami«.

²⁾ O *Libiszewskim*, bez podania źródeł, powiada Korzon (*Kościuszkowski*, str. 481): »Z dobrej woli oprócz Niemcewicza ofiarował się jechać aż do Ameryki Libiszewski, młody, hoży i mocny oficer polski, Wielkopolanin rodem, który już towarzyszył w drodze do Petersburga Wawrzeckiemu, również dobrowolnie. On to sam jeden przenosił Kościuszkę do powozu lub na sofę i zabawiał swoim talentem muzycznym: grał przedziwnie na waltorni i śpiewał przyjemnie«. Z dziennika podróży niniejszego, którego Korzon nie znał, dowiadujemy się, że umiał on grać i na innych instrumentach; znajdujemy też tam próbki jego dobrego humoru i apetytu.

ljonny finlandzkie nie mają ani zręczności ani wprawy rosyjskich. Niech się co chce stanie z pojazdami i z podróżnymi, oni nieporuszeni i szpetni, jak bożki egipskie, ani się nawet schyla, ażeby naprawić szkodę, której sami byli sprawcami. Tego dnia zaledwieśmy dwie stacje ujechali. 21-go taki sam śnieg, takie samo zimno i taka sama powolność. Na noclegu spotkaliśmy 30 Polaków, którym dobry cesarz Paweł powrócił wolność. Razem z 600 towarzyszami swymi byli oni na wygnaniu na wyspie opustoszałej i niezdrowej, nazwanej Kotka. Dawano im zaledwie parę kopiejek na dzień, a skazani byli na najprzykrzejsze prace, które zapelniały wszystkie godziny ich nieszczęśliwego żywota. Kiedy więc wspaniałomyślna i pobożna Katarzyna, której łaskawość głosili mniemani filozofowie, której wielkość duszy szczególnie gazety wychwalały, której uśmiech uroczy napawał rozkoszą i wzbudzał podziw tych wszystkich, którzy ją otaczali; kiedy, mówię, Katarzyna w Hermitażu¹⁾ swoim poczciwej i dobrodusznej kobiety odgrywała rolę, tysiące tysięcy nieszczęśliwych, którzy nie ulegali jej berlu, zaludniało lodowate stepy syberyjskie, napełniało więzienia i, pozbawieni wszelkiej pociechy, jęczeli nad zagładą ojczyzny i upadali pod ciężarem niedoli. Jenerał wspomógł tych nieszczęśliwych dawnych towarzyszków broni i pieniężnym datkiem i zapasami żywności.

Jest to coś okropnego podróżować w miesiącu grudniu w 61 stopniu szerokości. Wstaje się o czwartej zrana, kładzie się suknią na suknię i futro na futro, staje się człowiek ogromnym, ciężkim i bez żadnego kształtu kłosem, każe się zapakować do pojazdu, zaledwie odetchniesz, oddech marznący przylepia ci futro do twarzy. Ujechałeś pół werstwy, zatrzymuje się pojazd. Poco? dlaczego? Oto droga zasypana na ośm stóp śniegu, jechać dalej nie można. Wyśiadają wszyscy z pojazdu, po pas toną w śniegu, ani głośnie hi! hi! ha! ha! ani bicowanie nieszczęśliwych koni nie pomagają. Traci się tak godzinę lub dwie, nakoniec około dziewiątej rozwidnia się, posyłają po konie chłopskie i, gdy te nadejdą, wyciągają nas z przepaści. Oto jest tryb codzienny naszego spiesznego podróżowania pocztą; tak też i tego dnia cztery godziny straciłszy w zaspie śniegowej, nimeśmy się dowlekli do Wübourg.

Wübourg, miasto dawniej szwedzkie, zaczyna się nieco podnosić po pożarze, który je przed trzema latami zniszczył. Stanełiśmy

¹⁾ *Ermitage* (t. zn. pustelnia), pałacyk w stylu Ludwika XV, założony przez Katarzynę II w r. 1765 obok Pałacu Zimowego, potem rozbudowywany i zamieniony na muzeum sztuk pięknych.

w domu, będącym własnością jednego z krewnych kapitana Karpeen który nam był dodany. Był to dom obszerny, w pokoju bawialnym naokoło ścian ustawione były wielkie kufry z sukniami i bielizną. Jest to zwyczaj niemiecki, pochodzący w części z zamilowania porządku, które ich odznacza, w części z chęci popisywania się z dostatkami. Zastaliśmy tam zebranych kupców z miasta i od nich dowiedziałem się, że główny handel prowadzi Wübourg tarcicami sosnowemi. W czasie pokoju do 150 okrętów przyplywa po nie, podczas wojny obecnej ledwie 80. W zamian za nie otrzymują mieszkańcy sól, tak potrzebną w kraju, który się szczególniej solonem mięsem i rybami żywi. Miastem tem rządzi gubernator i naczelnik wojenny. Katarzyna II, stosownie do rady Machiawela *divide et impera*, rozdzieliła we wszystkich prowincjach władzę między dwóch rządców; ich atrybucje, nie będąc dostatecznie określone, stają się niewyczerpanem źródłem sporów i wzajemnej zazdrości; ciągle się z sobą kłócą, a lud biedny bywa zawsze ofiarą ich niezgody. Odwiedzałem obydwóch tych panów. Gubernator, książ B..., jest o tyle pogardzonym, znieawidzonym, o ile naczelnik wojenny, generał Wrangel, jest kochanym i szanowanym. W przedpokoju księcia zastałem pełno oficerów, ordynansów, lokai, a w wielkiej sali z zadziwieniem znalazłem zbiór najpiękniejszych sztychów angielskich, obok zaś bibliotekę bardzo liczną. Dowiedziałem się później, że pierwsze były wzięte na kredyt, a że do drugiej nigdy książ nie zaglądał. Nie potrzeba się pytać, dlaczego on te wszystkie zbiory zgromadzał; każdy wie, że próżność i wystawa stanowią główne rysy charakteru Rosjan. Dozwolony miałem zaszczyt oglądania osoby jego kniaziowskiej mości i jego dostojnej małżonki. Jak czule stadło siedzieli oboje przy kominie, książ odznaczał się blaadością błękitnąwą, kniaziowa miała cerę bardzo pięknego żółtego koloru, oczy małe, usta bardzo szerokie, dzielące na dwie równe części jej twarz długą i chudą. Przyjęli mnie z tą uprzejmością słodziutką, która jest oznaką nieszczerości i obludy. Książę zdawał mi się pomieszany i niespokojnym, zasłyszal on coś o zamiarze cesarza znieś enia urzędu gubernatorów. Widać było, że obawa postradania swego miejsca, równie jak niespokojność złego sumienia, dręczyły go niemilosiernie. Mówią, że ta śliczna para kłóci się często na dobre, kniaziowa poczęstuje nieraz jaśnie oświeconego małżonka porządne mi policzkami, on się jej odplaca podobną grzecznością i często kopnie ją nogą, gdzie się zdarzy. Jednakże te dwie zacne osoby bardzo przystały do siebie, zgoda wkrótce następuje i pogoda po burzy nastaje.

Naczelnik wojskowy, generał Wrangel, jest bardzo zacnym starcem, z wyrazem otwartości na twarzy. Żona jego pleć ma bardzo białą, tuszę potężną, widać, że była piękna. Mówią, że w wysokim stopniu posiada dar muzyki i pielęgnuje chorowitego męża z troskliwością prawdziwie rozczulającą. Ci dobrzy ludzie przyrzekli nam ułatwić dalszą naszą podróż. Potrzebowaliśmy ich pomocy, bo doświadczenie nas nauczyło, że dwanaście koni i więcej nawet, których używaliśmy, nie mogły nieraz po drogach zasypanych śniegami uciągnąć naszego pojazdu. Trzeba było szukać innego sposobu. Pojazd więc i kola włożono na sanie. Potrzebowaliśmy do niego i do kibitki naszej jedenaście koni. Robotnicy wzięli się więc do pracy, wszystko ma być gotowe jutro na południe.

Odwiedził nas gubernator, wieczór przepędziliśmy z naszymi wübourgskimi kupcami; kilku tych panów pochodziło z Inflant, i ich poprzednicy i oni wszelkiego dokładali starania, aby w towarzystwie wytepić język szwedzki a niemiecki zaprowadzić, Rosjanie z swojej strony usiłują upowszechnić mowę ruską, i aż nadto dobrze im się powiodło. Bardzo mało już tu używają języka ojczystego. To spostrzeżenie zasmuciło mnie, gdym myśl zwrócił na przedmiot, który wyłącznie mnie zajmuje. — Niestety! — pomyślałem, — jeżeli moja nieszczęśliwa ojczyzna nie ma już powstać, kto wie, czy mowa polska nie zaginie. Młodzież uczyć się będzie u nauczycieli rosyjskich lub niemieckich, będzie służyć w wojskach tych mocarstw, kobiety, które już dawniej przenosiły francuzczyznę nad mowę ojczystą, z równą plochością pójdą za nową modą, język nasz wytepiiony zostanie; ale nie, — nic go wytepić nie zdoła, odczwał się głos z głębi serca. Jest ktoś, kto go zachowa — i któż taki? Oto lud wiejski, ten to lud jest prawdziwym Narodem.

24 grudnia. Opuściliśmy miasto na południe, nająwszy furmana aż do Abo, dla tem większego bezpieczeństwa. Gubernator dodał nam oficera, który miał być naszym przewodnikiem wśród bagien, których bez niebezpieczeństwa przebyć nie można. Wieczorem zaprosiliśmy oficera do naszej wieczerzy. Wymówił się postem piątkowym i twierdził, że w ten dzień samym suchym chlebem się żywi. Nie był on suchy, bo myśląc, że zgrzeszy, jedząc ser, nie sądził, że grzech popełnia, upijając się porządnie. Na drugi dzień, gdy miał rozstać się z nami, naradzaliśmy się, jakby go wynagrodzić za trud dla nas podjęty. »Dajcie mu dukata«, rzekł do nas major Udom. »Jako, dać jakby na piwo oficerowi«, zawolałem z zadziwieniem. »Bardzo będzie szczęśliwy z tego tringeldu«, dodał kapitan Karpeen. »Oto jest dukat, daj mu go pan — rzekłem — bo ja nie śmiem wy-

stawiać się na odmowę i oburzenie, jakie podobny podarunek wywoła. Któż temu wierzy, dano mu dukata i przyjął go z oznakami wdzięczności, które zaszczyt może czynily jego sercu, lecz nie jego mundurowi.

Nic nie powiem o żyzności ziemi, o położeniu kraju, nic o tem wszystkim, co zwykle zajmuje uwagę podróżnika. Zima osłoniła płaszczem śnieżystym ziemię, wody, drzewa. Dostrzec można było gdzieś wielkiej bryły granitu czerwonego, wierzchołki skal wystawiały swoje lyse szczyty, galezie sosen i cisów uginały się pod ciężarem śniegu i lamaly się z hałasem. Zresztą wszędzie milczenie i zlodowaciała martwość. Podróżny, który kraj ten przebiega, wspomniawszy na tutejszą zimę, sześć lub siedm miesięcy trwającą, ubolewać musi nad losem mieszkańców jego, lecz niechże ich samych bada a przekona się, że oni uważają Finlandję za najpiękniejszą i najprzyjemniejszą krainę w świecie. Miłość ojczystej ziemi, przyrodzona człowiekowi, jest największem dobrodziejstwem natury, lecz też, niestety! czy może być okrutniejsze nieszczeście i sroższa męczarnia nad wieczne z tej drogiej ziemi wygnanie.

Nocowaliśmy w domu starego oficera uwolnionego od służby. Wznosił się ten dom na brzegu zatoki finlandzkiej i z niego przedstawiały się prawdziwie malownicze widoki. Czystość i porządek wszędzie w nim panowały, gospodarz oddany jest zupełnie swemu gospodarstwu, był wesoly i zdawał się szczęśliwy, nie musi nim być jednak zupełnie, bo jest sam, nie ma ani żony ani dzieci, któreby dzieliły jego troski i przyjemności. Opowiadał on nam, że podczas ostatniej wojny¹⁾ Szwedzi wylądowali na te brzegi, na których stoi dom i ciągnie się wieś jego, że spalili magazyn wojskowy, zagwoździli kilka armat, lecz że ani jedna chata wiejska nie ucierpiała od nich. Zapewniał nas, że wszędzie w ten sam sposób postępowali i że wszędzie prowadzili wojnę szlachetnie i po ludzku. »Nie tak to wojował Karol XII w naszym kraju«, — rzekłem do owego ex-wojskowego. — »Ani my także, Rosjanie«, odpowiedział mi. »Wiemy, jakich się okropności dopuścily u was nasze wojska, a tu, skorośmy tylko na ład szwedzki wysiedli, wszystkóśmy rabowali, otwieraliśmy nawet groby i obdzieraliśmy trupy«. Późnośmy wieczerali, gdyż na odmrożenie naszych wiktualów wiele czasu potrzeba było, mięso

¹⁾ Ostatnią wojną, o której tu mówi Niemcewicz, była wojna szwedzko-rosyjska, trwająca od 1788 do 1790 r. Panujący wówczas Gustaw III, pomimo chwilowego buntu swego wojska, odparł szczęśliwie najazd rosyjski na szwedzką Finlandję.

toporem musieliśmy rąbać, kilka butelek wina i piwa pękło nam, wydobyto z nich kawałki różnokolorowego lodu.

26 grudnia. Nazajutrz przejeżdżaliśmy przez Frederikshamm; jest to ostatnie miasto Finlandji rosyjskiej. Gustaw III byłby je był opanował, gdyby nie bunt jego wojska. Oberżystka, sto lat blisko wieku licząca, wyszła naprzeciw jenerała z prośbą, aby na chwilę wstąpił do niej. Chociaż był mróz 24 stopni, miała ona na sobie tylko perkalikową suknię, nie bała się ani kaszlu ani kataru. Okazał nam nasze paszporta, pojechaliśmy dalej. Nocowaliśmy w Tawastilla; miejsce to pamiętnem się dla nas stało, mieszka tam bowiem najpiękniejsza osoba, jaką w życiu spotkać mi się zdarzyło; jest ona córką wdowy po jednym kupcu z Frederikshamm, która się utrzymuje z malej własności ziemskiej. Ta śliczna istota nie miała więcej nad lat szesnaście, kibić jej cudowna, twarz uroczą, czaruje ona i rozumem i wdziękiem. Kto zerwie ten tak piękny kwiatek? Pewnie jakiś kupiec, albo oficer. Wolalbym, aby została kupcową, byłaby szczęśliwszą i mniej na niebezpieczeństwo wystawioną. Niechże się z nią ożeni praporcezyk lub kapitan, zaraz go zaczną pułkownicy i jenerałowie odwiedzać, a o jakiegokolwiek godzinie zawitaliby do niego, podwładny nie może im drzwi przed nosem zamknąć bez uchybienia subordynacji wojskowej. Zaprosiliśmy naszą gospodynię i jej śliczną córkę do nas i razem przebyliśmy wieczór, ożywieui wejrzeniem czarującego oka i uśmiechem ust koralowych. Złeśmy wywdzięczyli się za tyle gościnności i przyjemności, budząc dom cały o trzeciej z rana, lecz taka była reguła; ruszyliśmy więc dalej, a imię panny Małgorzaty Stevens powtarzaliśmy często i w naszych rozmowach i przy naszych toastach. — Spieszniej, jak dni poprzedzających, jechaliśmy dnia tego, zbliżyliśmy się do granicy jeszcze przededniem, mimo ciemności nocnej uważaliśmy silne reduty, które Rosja blisko granicy wzniosła, chcąc się zabezpieczyć od napadów szwedzkich. Nie można się dziwić tym środkom ostrożności, lecz godnem jest podziwu, iż Katarzyna tajemnie zawarowała sobie warunek, że jej wolno będzie umacniać swoją granicę, kiedy zastrzeżonem zostało, że Szwecja najmniejszej forteczki w tej stronie wystawić nie ma, co się w pospolitej mowie znaczy: Tobie nie jest dozwolone zuchwałstwo najścia mojego terytorjum, a mnie, najjaśniejszej cesarzowej wszech Rosji, wolno jest każdego czasu kraj twój opanować. — Rzeka, zdaje mi się, Kymene nazwana, oddziela Finlandję rosyjską od szwedzkiej ¹⁾. Z jakim wzruszeniem ujrzeliśmy

¹⁾ Niemcewicz nie myli się: rzeka *Kymene* w istocie stanowiła wówczas granicę między rosyjską a szwedzką Finlandją.

się na ziemi szwedzkiej! Wprawdzie więzy nasze były już zerwane, jednakże jeszcześmy dotąd ciągnęli za sobą kawałki łańcucha, teraz zdawało nam się, żeśmy ostatnie jego ogniwa na drugim brzegu rzeki zostawili. Uściskaliśmy się wzajemnie ze łzami w oczach; był to ten sam kraj, ta sama pora roku, jednak wszystko inną dla nas przybrało postać. Krajobraz zdawał nam się weselszy, domy ładniejsze, ludzie śmiało na nas spoglądali i jak z bliźnimi rozmawiali. — Wyrwałem się więc z twych szponów, Rosjo! sprawczyni wszystkich nieszczęść mojej ojczyzny i kraju, gdzieś przez dwadzieścia sześć miesięcy jęczał w najokropniejszym więzieniu, z którego nigdy nie byłbym wyszedł, gdyby śmierć nie była wydarła berła z rąk Katarzyny, aby je przenieść w dłonie dobroczynne Pawła I... Wcześniej dnia tego przybyliśmy do Lowisa.

Jest to ładne miasteczko, niedaleko morza zbudowane; handluje, tak, jak prawie wszystkie finlandzkie miasta, tarcicami, smołą, dziegiem, czasem sprzedaje także żyto. Domy są drewniane, bardzo porządne i wszystkie na czerwono malowane. Używają do tego ziemi czerwonej, którą tam wszędzie znajdują, i którą rozprowadzają mętami z oleju lub polewką od śledzi. Tym sposobem ochraniają drzewo od wpływu powietrza. Poszedłem do gubernatora miasta, barona Stackelberg, dla oddania mu listu polecającego nas. Co za różnica między nim a kniazem B., gubernatorem Wübourga. Zamiast tłumu sług, zastałem tylko jedną służącą, która jest razem kucharką, która zwiastowała moje przybycie i drzwi mi otworzyła. Zamiast przedpokoi, pokoi i sal — znalazłem tylko małą izbę z alkową, zamiast postaci wymuszonej i upstrzonej różnemi wstęgami — ujrzałem witającego mnie szanownego starca; dobroć i otwartość malowały się na jego twarzy. W kwadrans czasu rozmawialiśmy z sobą, jakby dawni znajomi. Ten zaorny człowiek udęczony jest bardzo bolesną chorobą kamienia. Nazajutrz wróciłem do niego i dałem mu adres Rogersona, lekarza cesarskiego w Petersburgu, który mu najskuteczniej na cierpienia jego będzie mógł pomóc. Jenerał posłał gubernatorowi butelkę starego węgryna, a ten go udarował parą głuźców; obydwu bardzo żalowali, że, wstrzymani każdy swemi dolegliwościami, nie mogli się odwiedzić i zabrać z sobą znajomości. Poczyły w Szwecji dobrze utrzymują, lecz są one ciężarem włościąnom, szczególnie w czasie żniw. Każda wieś obowiązana jest przysyłać kolejno cztery konie, które stoją przy domu pocztowym i czekają na podróżnych. Gdy ci większej ich liczby potrzebują, a nie chcą być zatrzymywani na każdej stacji, powinni naprzód wyprawić *Forbode*, to jest kurjera, który, poprzedzając ich o godzin kilka,

konie zamawia. Idąc za radą barona Stackelberg, najęliśmy takiego kurjera, który nam usługiwał aż do Abo.

W Lowisa piliśmy po raz pierwszy lekkie piwo, zwane *Swa-dnika*, bardzo zdrowe i niezmiernie smaczne. W całym kraju jedzą tu chleb, knicka-broë nazwany; jest to ciasto żytnie, płaskie, w środku przedziurawione; nakłada się te placki na długie tyki; można w każdym domu szwedzkim liczne takie tyki z takimi plac-kami napotkać. Kapitan Karpeen zastał w Lowisa jednego z swoich stryjów, który w dniu następnym córkę za mąż wydawał, i wyniósł na synowcu, aby pozostał na weselu; — został więc, a my poje-chali dalej.

W Finlandji szwedzkiej zastaliśmy drogi lepiej utrzymane, jak w Rosji. Dla zmiatania z nich zasp śniegu używają machiny bardzo prostej, ale wybornej. Jest to trójkąt zrobiony z desek połą-czonych z sobą latami; — zaprzęga się do nich parę koni. Boki trój-kąta odgarniają śnieg, a łąty go ubijają. Tym sposobem droga jest odmiecioną i robi się gładką. — Ujechawszy cztery szwedzkie mile, przybyliśmy do Borgo. To miasteczko jeszcze mi się ładniejsze i porzładniejsze jak Lowisa zdawało. Wielki handel zbożem prowadzi, posiada mały uniwersytet i gimnazjum. Wysiedliśmy do pięknej oberży. Prezydent miasta i profesorowie uniwersytetu przybyli z odwiedzinami do generała. Ich oświadczenia, uprzejmie, acz w nie-zrozumiałej francuszczyźnie, wyrażone, rozczuliły Kościuszkę, bo prosto z serca płynęły. Odchodząc, profesor matematyki życzył mu wielkich progresyj w zdrowiu: *des progressions dans la santé*. Pan oberżysta nielitościwie nas zdarł, zapłaciliśmy 5 *rixdallorów* za same stancje, bo wszelka żywność była nasza własna. Daleko więcej wi-dać gospodarskich budynków i nawet wsi w Finlandji szwedzkiej, jak w rosyjskiej. Jednakże Finlandja rosyjska i włościanie w niej daleko lepszego obejścia się doznają, jak inne części cesarstwa. Polityka więcej, jak uczucie ludzkości, skłania do tej łagodności. Piotr, opanowawszy tę prowincję, zachował mieszkańcom ich przy-wileje i dawne prawa. Następcy jego utrzymali je nietknięte. Uwol-niono nawet włościan od rekruta i wszelkiemi sposobami stara się rząd przywiązać ich do siebie. Mimo te usiłowania, technienie despo-tyzmu w wielkiej części zniszczyło ten ruch i ten przemysł, który się daje spostrzegać w Finlandji szwedzkiej. Mieliśmy tego dnia 26 stopni zimna. O drugiej popołudniu przybyliśmy do Helsingfors. To miasto, mając w pobliskości swojej twierdzą, uważane jest jako przedmurze Finlandji szwedzkiej. Pulk artylerji stoi tam garnizo-nem. Pulkownik Walbourne, do którego mieliśmy list polecający

nas, przybył z innymi oficerami w odwiedziny do generała. Był to człowiek, tak jak zwykle jego rodacy, pełen szczerzej uprzejmości; wezwał mnie, abym z nim przyjął wieczerzę u kapitana pułkowego, który tego dnia częstował oficerów swego pułku. Wszyscy już byli obiadowali u niego, bo jest zwyczajem w Szwecji, że osoby na obiad zaproszone zostają także na wieczerzę. Dzieje się to z oszczędności, gdyż resztkami z pierwszej uczy uraczają się na drugiej, lecz tym sposobem dłużej wszyscy z sobą zostają, a, gdy towarzystwo dobrane, przyjemność tem większa. Udałem się do mieszkania kapitana o 7-ej. Zastalem pułkownika i kilku oficerów zajętych grą w karty i palących fajki. Czyli pani domu była przyjemna, nie wiem, bo nie umiem po szwedzku. Ci panowie nieraz kolejno wstawali od stołu, aby ze mną rozmawiać. Najwięcej pytali mnie o Rosję, — bardzo zdawali się wszyscy troskliwi, czyli układające się małżeństwo przyjdzie do skutku¹⁾; spostrzegłem, że bardzo go sobie życzą. Szwedzi, acz odważni i choć w wielu potyczkach w ostatniej wojnie okazali wyższość swoją, poznali jednak, że długo tak potężnemu państwu nie będą mogli opierać się.

Mniemają oni, że połączenie się ich młodego króla z księżniczką rosyjską zapewni im spokojność na długie czasy, żądają go więc i słusznie. — Około dziewiątej przeszliśmy do małego gabinetu, tam zastaliśmy nakryty mały stół okrągły, a na nim masło, ser, wódkę, lososia i inne wędliny, które są jakby przedmową do każdego bankietu. Wieczerzę zastawiono w wielkim pokoju, zaczęliśmy ją od zimnych potraw, a skończyliśmy na zupie; wbrew zwyczajowi, w całej Europie przyjętemu, w całej Szwecji zupełną na końcu dają. Była tam i druga zupa z mleka i piwa osłodzonego. Gdy się częstują winem, podają razem i cukier, każdy kilka kawalków kładzie w swój kieliszek. Ta wieczerza, z tak szczerą i pełną prostoty gościnnością ofiarowana, więcej mi smakowała, aniżeli najwspanialsze i najwykwintniejsze biesiady. Wróciwszy do oberży, zastałem naszego anioła stróża, Karpeen, z powrotem z wesela. Opisowywał nam je jak najszumniej, nie mógł dość wysławiać hojności gospodarza, mnóstwa potraw, konfitur, cukrów, które tam pożarte zostały. Poczciwy ojciec dwa lata przygotowywał się na ten obchód. Ażeby poprzeć swoje twierdzenia, rozłożył on przed naszymi oczyma całe indyki pieczone i nadziewane, kapłony, torty, szynki, pudełko z cu-

¹⁾ Syn Gustawa III, Gustaw IV, wstąpił na tron po śmierci ojca w r. 1792. Katarzyna II zabiegała o to, ażeby go ożenić ze swoją wnuczką, ale małżeństwo to nie przyszło do skutku.

kierkami, wieniec ślubny z cukru topionego i dwie butelki biszofu. Często, gdy wśród śnieżnych zamieci zatrzymani byliśmy, prowadził nas do swoich sanek i uraczał nas temi specjalami. Zapasy jego trwały aż do Abo, choć Libiszewski nie oszczędzał ich, udo jędcze odrazu połykał, nie jadł, ale pożerał.

1 stycznia 1797. Trzy dni trwała nasza podróż do Abo; kraj, przez który jechaliśmy, był bardzo urozmaicony i malowniczy. Wszędzie lasy jodłowe i modrzewiowe, skały i przepaści, a w nich, mimo srogość pory zimowej, huk spadających potoków. Ledwie z oka ginęły te przerażające obrazy, przedstawiały ci się wesole widoki, obszerne płaszczyzny, rozciągające się aż do morza; rzeka, która je przerzynna, obladowana była różnemi statkami, słychać było tętent kuźnie, szum i turkot młynów wodnych, uderzały cię wielkie masy i światła i cienia, śnieg gładki i lodowata jego powierzchnia błysnęła tysiącami djamentami, stada cietrzewi, ozdobionych grzebieniami ponsowemi, zrywały się ciągle; — wszystko to razem przekonało nas, że i zima, tak jak inna pora roku, ma swoje piękności.

2 stycznia. Nocowaliśmy dwa razy w *bostelach* włościańskich. *Boste*le są to ziemie królewskie, oddane jakoby w żołdzie oficerom i żołnierzom wojska narodowego. Szwecja nie ma więcej nad 12.000 żołnierzy, ciągle w służbie zostających i będących na żołdzie, licząc do 45.000 wojowników, którzy nie pobierają żadnej płacy, lecz w miejsce jej ziemię do uprawy dostają. Włościanin, posiadacz *bostelu*, jest obowiązany utrzymywać żołnierza, któremu daje dom i kawał gruntu, mogący go wyżywić, wraz z krową i kilkoma owcami, oprócz tego dostarcza mu umundurowania zupełnego, broni, żołdu i żywności na miesiąc w czasie wojny lub obrotów wojskowych wśród pokoju. *Boste*le oficerów są zastosowane do stopni, jakie ci posiadają w wojsku, — jeneralskie są wspaniałe. To urządzenie wielkie korzyści przedstawia: żołnierz, który jest w pokoju największym próżniakiem, staje się tu użytecznym towarzysztem, trudniąc się uprawą roli; powtóre tego rodzaju wojacy, rozrzućeni po całej przestrzeni kraju, ćwiczenia wojskowe, które odbywają w każde święto po nabożeństwie, obozowanie każdego roku dwa miesiące trwające, utrzymują ducha rycerskiego w całej ludności krajowej. W ostatniej wojnie pulki te równie dobrze dopełniły swych obowiązków, jak wojsko na żołdzie zostające. Mówią jednak, że, gdy w roku 1787 armja fińska nie chciała iść przeciwko Rosjanom, a szczególnie ataku przypuścić do Friderikshamnu wzbraniała się, bunt ten przypisać należy nie tylko złej woli i niekarności oficerów, ale i niechęci, z jaką wszyscy opuścili swobodę wiejskiego życia

nato, aby się narażać na trudy i niebezpieczeństwo wojenne. Tym to sposobem ci panowie oszczędzili Czaryni¹⁾ strat i upokorzenia, na które tyle i tyle zasłużyła.

Zbliżając się do Abo, spotykaliśmy na wszystkich stacjach bardzo wielu podróżnych. Mówiono nam, że ci panowie i panie wracali od przyjaciół i krewnych, z którymi spędzić jeździli Święta Bożego Narodzenia i dzień Nowego Roku. Ten zwyczaj i kilka innych dowodzi, ile ten naród jest towarzyski i jak gościnny. To samo widzimy u nas i we wszystkich krajach, gdzie właściciele wiejscy stale po wsiach przesiadują; w wielkich miastach odwiedzają się znajomi, ale tylko na wsi żyją z sobą, kochają się i używają życia.

3 stycznia. Przybyliśmy do Abo przed południem. Jest to stolica całej Finlandji i jest trzecim miastem w całym królestwie. Dobrze zabudowana, obszerna, lecz prawie cała drewniana. Nie liczy jednak więcej nad 12.000 mieszkańców. Handel drzewa, dziegciu i żelaza jest bardzo znaczny. Jest tu wielu bogatych kupców. Posiada to miasto najwyższy całej prowincji trybunał, dodający do tego urzędników, oficerów flotyli, stojącej w tutejszym porcie, a pojmiemy, że to miejsce jest bardzo ożywione. Baron Fabjan Wrede jest gubernatorem miasta; przybył on zaraz z wizytą do generała. Pięć dni zatrzymaliśmy się w Abo. Alderman, to jest burmistrz miasta, pan Simmerberg, bardzo się nami zajął i starał się nam nasz pobyt uprzyjemnić. Zbierał on więc u siebie amatorów muzyki i dawał nam bardzo ładne koncerty. Był to człowiek, którego twarz męska z wyrazem siły i tęgosci objawiała także wiele łagodności i przejmującą poszanowaniem uczciwość. Miał on już ze 60 lat, a nie zdawał się mieć więcej nad 40. Jego druga żona, Gustawa Peping, była jedną z piękności w Abo. Rysy miała regularne, czarne oczy i włosy odbijały dobrze przy białości jej płci. Jeżeli nieco za silna tusza jest wadą, to tę jedną można jej było zarzucić. Poznaliśmy się także z biskupem w Abo, starcem ośmiesziesięcioletnim, bardzo wstawionym w całym kraju. Uchodzi on tu za najzręczniejszego i najbieglejszego w intrygach człowieka z całego królestwa. Dowiedziałem się potem, że to był prawdziwy Kossakowski²⁾ Szwecji. Żeby był takim w wieku, w którym ambicja zwykle ludzi pożera i każe im szczęście i spokojność poświęcać,

¹⁾ *Czaryni*, tj. caryni, zamiast carowej. Mowa tu o Katarzynie II.

²⁾ *Józef Kossakowski*, biskup inflancki, Targowiczanin, za zdradę kraju powieszony w Warszawie 1794.

słynności lub wyniesieniu się nad innych, żeby takim był w 40 lub 50 roku życia, nie dziwiłbym się wcale, lecz żeby, mając 80 lat, wdawać się w intrzygi dworskie, chcieć znaczyć i zbogacać się, tego już nadto, i to mnie przekonywa, że próżność i ambicja w grobie chyba spoczynek znajdują. -- Ten biskup miał dwóch synów, ludzi zacnych i zasłużonych; byli oni profesorami w uniwersytecie w Abo. Tutaj uczy się młodzież sposobiąca się do stanu duchownego; plebani, nawet z Finlandji rosyjskiej, tu się wszyscy kształcili. Wszystkie tu wykładają nauki, ale teologia najwięcej kwitnie.

5 stycznia. Mróz 25 stopni. Przez cały dzień pozostałem z moim przyjacielem, wieczorem wyszedłem, chcąc odetchnąć świeżem powietrzem. Nasze anioły stróże, Udom i Karpeen, towarzyszyli mi. Przeszedłszy się po mieście, wracaliśmy do domu, obwinęci w nasze ogromne futra i czapki nacisnąwszy na uszy, kiedy, przechodząc przez wielki plac, usłyszeliśmy głosy kobiece i śmiechy, które nas z naszego odrętwienia zbudziły; któżby się mógł spodziewać, aby w 61 stopniu szerokości, w mróz siarczysty nimfy tutejsze igrały sobie po ulicach.

6 stycznia. Zimno, lecz czas piękny, brzmia wszędzie dzwonki. Panowie powożą bardzo grzecznie panie w małych, jednokonných sankach. Sanki te miały po największej części kształt koszyków z trzciny, lekkich i eleganckich. Szlichtady te odbywają się czasem o milę lub o 2 mile za miasto, i kto wie, czy owe piękne panie nie znajdują tu tyle przyjemności, jak te, które pod szczęśliwszem niebem przechadzają się wśród róż i nirtów.

7 stycznia. Spacerując dziś zrana po mieście, spotkałem człowieka, który ciągnął małe sanki z świeżemi szczupakami. Kilka kupiłem do naszej kuchni. Zasilek ten był jej bardzo potrzebny; wyczerpaliśmy już byli nasze zapasy, a choć byliśmy w stolicy Finlandji, z wielką trudnością mogliśmy się zaopatrzyć w świeże wiktualy; wyjąwszy ryb i świni, niczego dostać na targu nie można. Bardzo się to łatwo tłumaczy, zwyczajem jest bowiem w Szwecji, tak na wsi, jak w miastach, że każdy gospodarz i gospodyni na cały rok przysposabia sobie prowizje kuchenne. Solą się mięsiva i wędzą się; marynują się warzywa i jarzyny, które są wyborne w Szwecji. Zakupują się lub łowią stromlingi itd. Tym sposobem można się obejść bez posyłania na targ, i włościanie wiedzą, że napróżno by tam z swemi produktami przybywali. Podróżni więc znajdują wielką trudność w zaopatrzeniu się w żywność, gdyż mieszkańcy miast, nie mając w spiżarniach tylko tyle, ile im na cały rok potrzeba, nie zbywają jej chętnie lub sprzedają na wagę złota. Po

wielu zachodach — zgadnąć proszę, gdzie nas odesłano po pietruszkę i po chrzan? — do apteki. Było to jedyne miejsce, gdzieśmy je znaleźć potrafili.

8 stycznia. Przed wyjazdem z Abo byłem z wizytą u biskupa. Po kwadransie rozmowy żegnam go; odprowadza mnie do drugiego pokoju, — mniejsza o to; — idę do przedpokoju, aby się odziać w moje futro, idzie za mną. Proszę go, aby się nie trudził, nadaremna prośba: towarzyszy mi do schodów; myślałem, że tu kres będzie jego uprzejmości. Ale gdzież tam, schodzi ze mną ze schodów, głuchy na moje zaklęcia i błagania, nie zważając na zimno, ten starzec dworak sięga mnie przez cały dziedziniec i dopiero ostatecznie żegna się ze mną przy bramie na ulicy. Opuszcłem go zawstydzony i zmęczony takim szturmem grzeczności jego; Mandaryn Kochenchiński¹⁾ nie byłby się inaczej ze mną obszedł. Gdy gdyby był biskup jeszcze krok jeden dalej posunął na ulicę, jak to chciał zrobić, oświadczam, iż wzorem Kochinczyków byłbym się rzucił do nóg jego, zaklinając go, aby mnie niegodnego przestał taką czcią urażać. Po obiedzie, w towarzystwie aldermana Simmerberga, pojechaliśmy do Saris, do *Bostelu* jenerała Fabjana Wrede. któregośmy już poznali za naszym do Abo przybyciem. Staliśmy tam o 6 wieczorem. Dom jego drewniany, lecz obszerny, wygodnie urządzone, umeblowane z dobrym smakiem, a nawet ze zbytkiem Jenerał Wrede ma zaledwie 36 lat. Z śliczną twarzą, z wzrostem wysokim, łączy on wyraz otwartości, szlachetności i prawości, który odrazu ujmuje i przyciąga. Służył we Francji, odznaczył się w ostatniej wojnie przeciw Rosjanom, i był jednym z wielkich ulubieńców Gustawa III. Przyjął nas jaknajprzyjaźniej i, jakeśmy się później dowiedzieli, kazał swojej [dobrej przyjaciółce wynieść się z jej pokoju, a umieścił w nim jenerała Kościuszkę i dał mu jej łóżko. Po herbacie zasiedliśmy do partji whista, lecz więcejśmy rozmawiali, jak grali. Wieczera była wyborna, my sami byli tylko z obcych, resztę towarzystwa, acz dość licznego, składali jego adjutanci i oficerowie jego pułków. Między nimi był emigrant francuski, pan Bidal de Broue, ofiara — jak tyłu innych — płochości i zaślepienia książąt francuskich. Przez lat dwa służył pod ich chorągwiami, a potem zostawał kolejno w służbie rosyjskiej, duńskiej, szwedzkiej. W Petersburgu uwięziony, doznał srogiego obejścia się, w Kopenhadze także był wtrącony do więzienia, nakoniec, po

¹⁾ *Kochinchina*, dawniej wasalne państwo, od Chin zależne, potem, aż do dziś, podwładne Francji.

wielu nieszczęściach i wydarzeniach smutnych, otrzymał miejsce w pułku dragonów finlandzkich, [ale] stracił je wkrótce, podług chwałebnego zwyczaju, w Szwecji przyjętego. Dziś żyje przy baronie Wrede. Nieszczęście wykształciło tego młodzieńca. Choć emigrant, — mówi on z bezstronnością równie o gorszaczem postępowaniu książąt, jak o szkaradnych zbrodniach Robespiera. On-tó poznał młodego księcia Orleanu, gdy, przebrany za kupca szwajcarskiego, przybył do Norwegji, pieszo podróżując, dostał się aż do Torneo, skąd udał się do Finlandji, gdzie odwiedził generała Klingsporten. Gdy się znajdował w Sztokholmie, młody król i rejent, jak twierdzą, chcieli go skłonić, aby osiadł w Szwecji, i najkorzystniejsze czynili mu propozycje. Wszystkie jednak odrzucił, odplynał do Ameryki, przenosząc niepodległość i wolną ziemią nad wszystkie godności i zaszczyty. Pięknie on takim postępowaniem odpowiedział oszczercom swoim. Ten młodzieniec znajdzie w swoim sumieniu i w szacunku uczciwych ludzi pociechę i wynagrodzenie za to wszystko, co ucierpiał*).

9 stycznia. Cały dzień następny przebyliśmy w gościnie u generała. Dom jego wznosi się w bardzo pięknem i malowniczem położeniu, na brzegu morza, albo raczej wśród wysp, które mu nadają postać kilku jezior. Wyspy są pokryte lasami i napelnione zwierzyną. Baron Wrede może dogadzać swojej namiętności polowania. Ma on śliczne psy; podczas obiadu, gdym się najmniej spodziewał, uczulem, że mnie ktoś popycha z tyłu, obracam się, a tu wielki pudel, który, wspiąwszy się przednimi łapami i oparłszy je na krzesła, stał nieporuszony, jakby lokaj, i oczekiwał swojego kawalka. Współbiedniakiem naszym był bogaty dzierżawca z sąsiedztwa, a raczej właściciel kuźnic żelaza. Był gruby i otyły, twarzy otwartej, humoru wesołego, jak to zwykle bywa u ludzi dobrej tuszy. Powitał barona po angielsku, to jest uściśnieniem ręki. To powitanie dało mi lepiej poznać rząd i obyczaje tego narodu, aniżeli wszystkie traktaty i książki. W istocie, widząc pierwszego lepszego dzierżawcę, żyjącego z taką poufałością z jednym z pierwszych panów królestwa, dowodzącym w całej prowincji, kawalerem orderu Serafinów, powiedziałem sobie: zapewne lud musi tu mieć udział w zarządzie państwa, i w naczelnikach [swoich widzi tylko starszych braci.

*) Książę Orleanu, syn Egalité, w 36 lat później król Francuzów, Ludwik Filip, zaczął młode życie w tułactwie i skończył je w 53 lat potem na wygnaniu. (Przyp. tłómacza.)

Bardzo wesoło dzień nam przeszedł. Baron posiada bibliotekę wyborową, a oprócz niej ma zbiór perspektyw, teleskopów, mikroskopów i różnych narzędzi fizycznych. Okazał mi kilka listów Gustawa III. Można w nich poznać szacunek, ufność i przyjaźń, któremi ten monarcha zaszczycał barona Wrede. Listy te pisane są z dowcipem i stylem łatwym, lecz ortografją właściwą kobietom i królom. Nie poznaliśmy faworyty barona, była cierpiącą i nie wstawiała z łóżka. Mówią, że ładna, przyjemna i dobra kobiecina. Słowem, przekonałem się, że nic do szczęścia temu zacnemu człowiekowi nie brakowało. Od niedawnego czasu rozłączył się z swoją żoną, lecz mówią, że w tem winy jego nie było. Jejmość była wymagająca, wszystkiego dozwalała sobie, a nie nie przepuszczała małżonkowi. Mimo rozłączenia, żyją z sobą w przyjaźni. Mają syna wielkich nadziei. Pani osiada w Sztokholmie i bardzo się dobrze bawi. Wróciwszy niedawno z Paryża, chciała zaprowadzić modę peruk niebięskich i różowych, lecz nie słyhać, aby ją panie sztokholmskie naśladowały ¹⁾.

10 stycznia. Na drugi dzień rozstaliśmy się z naszym uprzedzonym gospodarzem i, opatrzeni w mapy, któremi nas baron obdaruwał, puściliśmy się w dalszą podróż, mając do przebycia Archipelag tutejszy. Po trzech godzinach drogi przebyliśmy odnogę morską, która oddziela ląd stały od wyspy św. Jakóba, a potem tę, która między tą wyspą a Wastallą znajduje się. Kilka domów rybackich wznosi się na tej ostatniej wyspie, która jest tylko skałą jałową, kilka tylko sosen na niej rośnie. Mieszkańcy utrzymują się z połowu ryb, które zamieniają na zboże i inne przedmioty do życia potrzebne, dobrze się jednak mają, są nawet bogaci. Dom, w którym nocowaliśmy, był dobrze zbudowany i obszerny, była w nim izba dla podróżnych przeznaczona, naprzeciwko sala ogromna, w której się mieściła cała rodzina, sufit w niej był wygięty i przedstawiał kształt pomostu okrętowego. Tam się zbierali wszyscy domownicy i oddawali się swym zatrudnieniom. W jednym końcu tej wielkiej izby był komin kuchenny, w drugim stał zegar brązowy farby ²⁾ londyńskiej. W głębi stół wielki. Jedną część tej sali zajmowały łóżka całej rodziny, ustawione jedno nad drugimi. Matka sypiała na dole, ojciec na pierwszym piętrze, wyżej nocowali

¹⁾ Z tego ustępu należy się domyślać, że Niemcewicz swój opis podróży układał z notat podróżnych w Sztokholmie.
²⁾ farby londyńskiej, zapewne myłka druku zam. fabryki londyńskiej.

dwaj synowie, a najwyżej córki, uroczu stworzenia, najpiękniejsze, jakie na tej ziemi spotkać można. Były to dwie mieszkanki brzegów Tybru, kibici rosłej i wysmukłej, z najpiękniejszymi i najregularniejszymi rysami; ich włosy, splecione w warkocze, spięte były szpilką srebrną. Było to zupełnie po starożytnemu, lecz co po starożytnemu nie było, to jakaś kacawejka z skóry baraniej, a więc kożuszek. Te panienki, choć miały lat 20 do 21, nie myślały jeszcze o mężach. Zwyczaj zawierania ślubów małżeńskich nie w bardzo młodym wieku przyczynia się do nadania siły i pięknej urody całej ludności tych krajów.

Przepędziłem wieczór wśród całej tej rodziny. Salę oświetlali kagańce, czy raczej pochodnie ze smolnego drzewa. Obie panny przędały wraz z matką. Ojciec i synowie naprawiali sieci. Rozmowa, acz jej nie rozumiałem, bardzo mnie zajęła, bo i spojrzeciami rozmawialiśmy z sobą. Libiszewski ożywił nasze towarzystwo. Zmęczony drogą, rzucił się na łóżko dla niego przygotowane w tej samej izbie. Tam rozwalony, prawie rozebrany, wziął skrzypce i wyprawił nam szczególniejsze widowisko człowieka grającego w łóżku konradane i kozaki. Dziwna postać i ruchy naszego muzykanta, wykrzywanie twarzy, wesolość granych tańców, wywołały głośne śmiechy i przerwały wszelką robotę. Śmiano się, dopóki sen nie zmorzył skrzypiciela i nie ustala muzyka.

11 stycznia. O szóstej zrana każdy z nas wsiadł w odkryte sanki, wyjąwszy jenerała, do którego sanek przyczepiono dudywan w kształcie baldachimu, który go dobrze osłaniał. Cały dzień mieliśmy spędzić w drodze na zamarzem morzu; powietrze łagodne, od kilku dni trwające, bardzo było lód osłabiło. Żadnej więc ostrożności nie chcieliśmy zaniedbać. Włóścianie, którzy się znali dobrze na sile i grubości lodu, poprzedzali nas, uzbroiwszy się żelaznemi oskardami, któremi próbowali tak jednej, jak drugiej. Jaki był porządek naszej karawany? Pojazd nasz, rozebrany na różne części i jakby w szyku wojennym, pierwszy postępował: koła na jednych sankach stanowiły straż przednią, pudło pojazdu wyobrażało główny korpus, a spód jego wyglądał na straż tylną. Nasze małe sanki, jedne za drugimi postępujące, zdawały się być powózkami obozowemi. Nasi przewodnicy zatrzymywali nas co chwila i często zbaczali z drogi prostej, chcąc najbezpieczniejsze wybierać miejsca. Uważałem, iż zawsze tam się kierowali, gdzie lód był popękany, zapewne dlatego, że zimno, przeciskając się przez te otwory aż do wody, umacniało jej lodowatą pokrywę. Często ona tak była cienka, że za uderzeniem w nią drągiem woda wytryskała z pod niej, jakby z fontanny

Raz kucharz generała przybiegł do mnie z przerażeniem, wołając: »Ach, panie, lód nie jest grubszy od kotleta«. Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu z tego porównania, widząc, że każdy odnosił wszystko do przedmiotów, z którymi był najlepiej obeznany. Jestem przekonany, że, gdyby ten kucharz wierszował, malowałby jutrzękę z palcami marchwiannemi, łąkę ustrojoną w salatę i w szpinak. Szczęśliwie zajechaliśmy do Kumlinge, które było na ten dzień kresem naszej podróży. Znaleźliśmy tu dobry nocleg i wyborne cietrzewie; w tych krajach łatwiej o nie, jak o drób. Reszty czasu użyliśmy na przygotowaniach do podróży jutrzejszej, mając do przebycia najdłuższą i najniebezpieczniejszą część Archipelagu. O czwartej *Forbode*, czyli kurjer, naprzód wysłany dla przygotowania nam koni, wrócił z Eckeren z wiadomością, że cała zatoka morska była napełniona lodami, a przeto przebycie jej niepodobne do skutecznienia, może przez czas długi. To doniesienie bardzo nas zmartwiło; mieliśmy do wyboru albo pozostać w Eckeren przez sześć tygodni, albo okrążyć zatokę Botnicką przez Torneo, to jest podróżować w 66 stopni[ach] szerokości w miesiącu styczniu. Chcąc być na wszelki wypadek w pogotowiu, napisaliśmy do generała Wrede z prośbą o paszporta na tę północną podróż i dalej puściliśmy się w drogę. Przestrzeń, którąśmy przebywali, zowie się Delet i jest długości pięciu do sześciu mil szwedzkich; jedzie się ciągle po lodzie, gdzie-niegdzie spostrzec można puste i jalone wysepki. Pomyślawszy, że nas od otchlani morskich dzieliła tylko powłoka lodu na pół stopy gruba, że tę niezmierną płaszczyznę, tak gładką i równą, teraz niewzruszoną i martwą, którąśmy pocztą przebiegali, niedawno przerzynały okręta, poruszały i wzburzały wiatry w piętrzące się wały, pomyślawszy — mówię — to wszystko, wstrzymać się nie mogłem od zadziwienia i smętnego zadumienia. Lud Boży nie sam więc tylko przebywał morze bez zamaczania sobie pięt.

Gdyśmy się do Skarpeen zbliżać zaczęli, język fiński nagle ustal, a najpółnocniejszy w Europie dialekt lapoński objawił się nam. Zaczyna się on u północnego przyłądka i dotyka aż do Bałtyku. Kto wie, czy mowa używana w Inflantach i w Kurlandji nie pochodzi od niego. Język ten nie jest podobny do żadnego innego, lud, który nim przemawia, jest ubogi, z swojej ojczyznej ziemi nigdy nie wyszedł, ani żadnych napadów obcych nie dopuścił. Mieszkańcy tutejsi mówili mi o swym dialekcie tak, jak zwykle każdy lud mówi o swoim języku, że jest bardzo bogaty, wyrazisty i że bardzo pięknemi szczytami się poezjami. Skarpeen, gdzieśmy nocowali, już jest na wyspie Aland; znaleźliśmy tam dwa lub trzy domy, bardzo po-

rzadne, z wygodnemi pokojami, przeznaczonemi dla podróżnych. Nie mieliśmy dotąd podobnie dobrego noclegu, dostaliśmy tu i jaj i drobiu i wybornego, świeżego masła.

13 stycznia puściliśmy się w dalszą podróż, już po ziemi, nie po lodzie, gdyż nie wspominam o malej odnodze morskiej, dzielącej wyspę Aland na dwie części. Ta wyspa, z całego Archipelagu najobszerniejsza, bo ma pięć mil długości i pięć szerokości, jest dość zaludniona i odznacza się dość staranną uprawą roli. Włościanie, tak jak w Finlandji, są gościnni, uprzejmi dla cudzoziemców i nawet między sobą i dla siebie grzeczni. Ileż razy widziałem kobiety i dziewczęta podróżujące pieszo, które się wśród drogi zatrzymywały nato, aby naszym postyljonom dygnąć i zapytać o ich szacowne zdrowie. Ci kawalerowie nie mniej byli uprzejmi i kłaniający się. W ogólności powiedzieć można, że ten lud zdaje się składać z ludzi dobrze wychowanych. Wśród wyspy stoją zwałiska wielkiego i starożytnego zamku nazwanego Castelholm. W nim to Eryka, syna Gustawa Wazy, gdy oszalał, zamknąć kazał brat jego, Jan, mąż Katarzyny Jagiellonki, córki Zygmunta I, króla polskiego, a matki Zygmunta III.

Przybywszy do Eckeren, przekonaliśmy się na nieszczęście, że raport naszego kurjera był prawdziwy. Jak tylko można było ókiem zasięgnąć, morze pokryte było kawałkami lodu, ogromną kraw, wiatr był zmienny, a więc żadnej nadziei prędkiego odjazdu. Postanowiliśmy więc czekać na odpowiedź generała Wrede. Eckeren, stolica wyspy Aland, składa się z domu należącego do poczmistrza, o 400 kroków od brzegów morza oddalonego, gdzieśmy się usadowili, z kilku domów, zbudowanych dla wygody podróżnych, lecz po największej części pustych, i z wioski porządnie zabudowanej i dość ludnej. Jedenaście dni przepędziliśmy, a raczej przewlekli, na tej samotnej wyspie. Pod innym niebem, lub przynajmniej w innej porze, byłbym chętnie miesiące całe w takim osamotnieniu przebył, lecz w zimie, gdy cała natura zamarła, gdy się ma tylko pięć godzin dnia! Staraliśmy się jednak dobrze dni nasze zapelnąć. Naszą karawanę powiększyło przybycie trzech oficerów szwedzkich, jadących z Wester-Botnii i będących w garnizonie w miasteczku, o mil 12 na północ od Torneo odległym, a więc w 68 stopniu szerokości. Był między nimi porucznik Clementiów¹⁾, liczący już lat 63, lecz który i na 30 nie wyglądał, tak był czerstwy i silny. Ponieważ w Szwecji wszystkie rangi wojskowe kupują się, a Clementiów

¹⁾ Nazwisko *Clementiów* drukowane jest w innym ustępie *Clemention* i zdaje się, że ta ostatnia forma nazwiska jest poprawnie podana.

z urodzenia był ubogi, więc dopiero po 44 latach służby doszedł do porucznikostwa. Służył on w Pomeranji podczas ostatniej wojny przeciw Prusom i niezle wyuczył się po niemiecku. Jest to człowiek zacyjny, czynny, oświecony, dzielny wojskowy i bardzo rozmowny. Miał z sobą syna, który także był porucznikiem; młody ten człowiek bardzo jest przystojny i ma zupełnie postawę wojskową. Trzeci ich towarzysz był młodzieniec rodem z Gothenburga, uczciwy i łagodnego usposobienia, ale bardzo słabego zdrowia. Przybył nam jeszcze wielki oryginał, któregośmy w Abo poznali, kapitan Asprod, jeden z pięćdziesięciu adjutantów króla. Podczas podróży Jego Królewskiej Mości do Petersburga, był posłany kurjerem i w drodze zlam a nogę blisko Wüburga. Dopiero co był powstał z łózka i chodził o kulach; bez tego wypadku, który litość dla niego wzbudzał, byłby najśmieszniejszym oryginałem na świecie, pozostał jednak zawsze śmiałym aż do zuchwałości, do bezczelności nawet, ceremonjalnym i komplementystą aż do znudzenia. Słowa do generała nie powiedział bez uraczenia go Ekscellencją, a najprostsze *tak* lub *nie* okraszał zawsze śmiechem głupowatym. Choć ceremonjalny, bez ceremonji usadził się w naszej kwaterze i był naszym współbiedniakiem przez cały czas naszego tam pobytu. Trzej oficerowie wyżej wymienieni rozkwaterowali się u jednego z mieszkańców wioski. Codziennie generał jednego z nich zapraszał na obiad i każdy z nich udzielał nam ciekawych szczegółów tak o kraju, w którym mieszkali, jak o sąsiadach Lapończykach. Jednego razu ubolewałem nad nimi, że byli w kraju tak pustym i w klimacie tak ostrym. Stary porucznik bronił go z zapalem takim, jaki tylko *dulcis fumus patriae* natchnąć może. Nasze pola, mówił on, dostarczają nam żyta podobnie, nasze rzeki i jeziora łososi najsmaczniejszych w całym świecie, każdy z nas ma parę krów, a co jeszcze lepszego, stada renów, które się latem i zimą pasą w lasach, dotykających naszych mieszkań. Te zwierzęta nie wymagają wielkiej pieczołowitości, a przecież żywią nas swem mlekiem, z którego wyrabiamy także sery, w zimie zaprzężone do sanek, przenoszą nas z miejsca na miejsce prędzej jak najlepsze konie, nakoniec mamy z nich i mięso wyborne i skóry, które się bardzo drogo sprzedają. Powietrze nie jest tak ostre, jak sobie wyobrażają. Mamy dwa miesiące lata a raczej te dwa miesiące są tylko jednym dniem, bez żadnej przerwy. Słońce, jak ogromny okrąg, pozostaje ciągle na horyzoncie. Zimy wprawdzie są długie i mroźne, przez sześć miesięcy używamy tylko przez godzinę lub dwie światła dziennego, nie myśląc jednak, żebyśmy, do słów podobni, cały ten czas przesпали. Księżyc* przyświeca nam bla-

skiem nieznanym w waszych krajach i zastępuje nam słońce wśród ciemności nocnych, zorza północna rozwija swój płaszcz purpurowy i różowy, na który patrzeć bez uniesienia nie można. Jeżeliśmy w naszych chatach uwięzieni, przy świetle żywicznych pochodni zajmujemy się naprawą naszych sieci, wyrobem lub naprawą naszych narzędzi rolniczych, różnemi gospodarskimi pracami. W tej także porze roku dostawiamy do portów morskich nasze produkta, i nasi znajomi, acz oddzieleni od nas niezmiernymi przestrzeniami, odwiedzają nas, znosimy się z sobą, udzielamy sobie gazet, z których w ośm miesięcy dowiadujemy się o tem, co się dzieje w Europie, przecież nie jesteśmy obcymi wydarzonym tam wypadkom, a tak, wśród naszych śniegów i lodów, zrywamy na drodze życia nasze własne kwiaty, i umieramy, poznawszy, tak jak inni, szczęście tej ziemi.

Pan Clemention i jego towarzysze nieraz odwiedzali Laponczyków. Opowiadali nam, że to jest lud zupełnie wędrowny. W lecie usuwają się między skały norweskie, gdzie ich reny znajdują obfite pastwisko. W zimie wracają i wybierają sobie miejsca najsposzobniejsze dla nich i ich trzód. Gdy mech, służący renom za pożywienie, już wyjedzony, posuwają się dalej. Żyją pod namiotami mężczyźni, kobiety, dzieci i reny razem pomieszani. Nienawładząc pracy i podległości, śpią, jedzą, częstują się wzajem. Są małoego wzrostu, porządnie brzydzy, szczególnie ich kobiety są szpetne. Gościnność jest jedną z ich najglówniejszych cnót, lubią cudzoziemców i uraczają ich najlepszem mlekiem, serem i mięsem z ren[ów]. Rząd szwedzki usiłował pociągnąć ich do chrystjanizmu, utrzymując swoim kosztem w najludniejszych powiatach probostwa; doś się to powiodło, przecież nie uczęszczają oni do kościołów jak tylko raz lub dwa wśród nateższej zimy, kiedy mrozy silne nie pozwalają im włóczyć. Zachowują oni znaczną część swych zaboronów i w istocie są tylko z nazwiska chrześcijanami. Lud ten bardzo jest do swojego kraju przywiązany. Gustaw III posłał był kilka lapońskich rodzin księciu Kondeuszowi. Ten im wyznaczył w ogrodach w Chantilly znaczny kawał gruntu w położeniu najprzyjemniejszym i w najżyźniejszej glebie. Wymurował im domy i dostarczył podostatkiem wszystkiego, czego im dla nich i dla ich renów potrzeba było. Lecz niestety te piękne gaje, szmer strumyków, łąki kwiciste, wszystkie wygody życia były dla nich bez żadnego powabu. Wzdychali ciągle za swemi skalami, śniegami, lodami i byłiby z tęsknoty pomarli, gdyby ich był książę nie kazał po roku odesłać do ich ojczyznej ziemi. Wiadomo jest, że Laponja podzieloną jest na trzy części. Jedną posiada Rosja, drugą Szwecja,

trzecią Danja, lecz można twierdzić, że ten lud zna tylko z nazwiska swoich panów. Placą oni bardzo mało, żyją niepodlegli, między sobą często prowadzą wojny, napadają na siebie bez wiedzy swoich rządów. Tak nam porucznik Clemention i jego towarzysze opisywali swój i ich sąsiadów, Lapończyków, kraj. Te opowiadania rozrywały jednostajność i nudę dni w Eckeren, przepędzanych. Nie mieliśmy tam wprawdzie żadnej zabawy, przecież nie nudziliśmy się. Rano koło siódmej wstawaliśmy. Rozniecano ogień, zapalano świece i przyrządzano śniadanie. O ósmej zbierali się oficerowie, piliśmy kawę, herbatę z grzankami, wyborem masłem posmarowanemi. Wchodził kucharz i następowała dyspozycja obiadu. Koło dziesiątej, jeżeli czas był piękny, przychodzili właścianie z wiktuałami. Jako to z rybami, z białemi zajacami, z cietrzewiami, z jarząbkami i czasem z drobiem. Wszystko to sprzedają dość drogo, wyjąwszy stromlingi. Są to małe ryby, mniejsze od okuni, których mnóstwo polawia się przy brzegach Finlandji, obfitość ich jest tak wielka, jak śledzi w morzach północnych. Rybka ta jest bardzo tłusta, smaczna, czy świeża czy solona, lecz wkrótce się sprykrzy. Lud pospolity żywi się nią codziennie. Często przytomny byłem śniadaniu dwóch parobków i dwóch dziewczek, które składały czeladzą pana Young, naszego gospodarza. Zwykle mieli oni zupę z mleka, po niej półmisek stromlingów, dalej chleb, masło i ser. Na obiad dodawano im mięso solone. W częściach północnych Finlandji taką mnogość lososi polawiają, że panowie w kontraktach ze swymi sługami kładą ten warunek, że codzien mają jadać ryby. Mleko jest pokarmem najczęściej używanym w Finlandji. Krowy, acz małe, bardzo są mleczne. Oprócz siana dają im w ziemie polewkę gotowaną z otrębami, liściami kapuścianemi i innemi warzywami, która je wybornie karmi. Po naszym śniadaniu, jeżeli czas był piękny, generał wyjeżdżał na spacer w sankach, a ja szedłem pieszo. Zwykle do telegrafu odbywałem przechadzkę. Bawiło mnie to widzieć w ruchu tę tak dowcipnie urządzoną machinę, a więcej jeszcze żądza otrzymania za jej pomocą wiadomości z zatoki wiodła ku niej. Co to za wynalazek, co za cud, co za przyjemność, żeby móc słowa swoje przerzucać powietrzem z szybkością myśli. Nasz telegraf był w związku z tym, który umieszczono na pustej wyspie Singlekars, o półtóry mili szwedzkiej. Ten podawał depesze temu, który urządzony był w Griselhamm, w Szwecji, stamtąd pocztą przesyłano wiadomości do Sztokholmu. Ta powietrzna rozmowa dozorców telegrafowych była bardzo grzeczna, ale wcale nie ciekawa. Z pół godziny czasu codzien poświęcali na przesyłaniu sobie życzeń *dobrego*

dnia, dobrej nocy, na zapytania o zdrowie, sen i apetyt. Pytano się także o stan zatoki; przez dni jedenaście zawsze ta sama odpowiedź, wcale nie pocieszająca: »wielkie szyby lodu, wiatr przeciwny, podróż niepodobna«. Wracalem do kwatery. Jenerał dla zabicia czasu rysował i ja także rysowałem. O drugiej obiad. Po obiedzie brałem moją szubę, moje buty futrzane i wychodziłem na spacer. W innej porze roku byłbym zwiedził najodleglejsze zakątki tej wyspy, lecz wielkie śniegi nie dozwalały mi zaspokojenia mej ciekawości. Raz zspuściłem się na zachodnie brzegi wyspy, przeszedłszy przez odnogę morską zamarzłą. Myślałem, że wrócę lądem, widząc z pod zasp śniegowych wyglądające bryły granitowe i małe sosenki. Wszystko to było uludą. Te krzaki były to rosłe sosny 5 lub 6 stóp wysokie, zasypane śniegiem, i których tylko wierzchołki widać było; myślałem, że depcę ich korzenie, a ja szedłem po ich gałęziach. Gałęzie gną się pod ciężarem, wpadam w otchłań, głową tylko nad nią góruję, gdyż szczęściem śnieg był mrozem stężał i zaskorupiał. Opakowany w futrze i w ciężkich butach, po długim pasowaniu się już traciłem siły, gdy szczęściem major Udom, który w pewnej odległości szedł za mną, nadbiegł na mój krzyk i dopomógł mi do wydobycia się z przepaści. Po wielu trudach dobiliśmy się na brzeg morza. — Było tam morze przed nami, ale nie ta powierzchnia wspaniała, na którą spoglądając, wzrok się gubi, która przemawia głosem potężnym bałwanów, która nas w zadumanie wprawia, lecz była to przestrzeń najeżona bryłami lodu, nierówna, zmarszczona, piętrząca się. — Nigdy jeszcze nie widział równie smutnego i ponurego obrazu. Ziemia i woda jedną tylko stanowiły pustynię. — Okropne milczenie wszędzie panowało, nie przerywały go ani głosy ptaków, ani nawet szum wiatru. Człowieka tylko głos słyhać było. Cała natura zamarła, ja sam tam żywy, ale niestety nieszczęśliwy bardzo, zaledwie z długiej niewoli wypuszczony, widziałem się skazanym na długie tułactwo, na długie z ojczyzną rozstanie, na wieczny żal po niej. Wróciłem dopiero nocą zmęczony i smutny.

Niedaleko mieszkania pana Younga wybudowano, jakem już rzekł, kilka domów dla wygody podróżnych. Jeden z nich zajmowało pięciu żołnierzy polskich. Wzięci w niewolę przez Rosjan, odesłani zostali na wyspę Kotka i tam najsroźszego doznali obejścia się. Udało im się uciec i dostać się do Finlandji szwedzkiej; często odwiedzałem tych smutnych rozbitków naszego narodowego okrętu. Jenerał wiele im świadczył, kazał ich później do Sztokholmu przewieźć, obmyślił ich utrzymanie i wszelkich dołożył starań, ażeby z bezpieczeństwem dostali się do nieszczęśliwej swej ojczyzny. Ci

poczeiwi ludzie nie mogą dość wychwalić ludzkości i uczciwości, jaką znaleźli w ludzie szwedzkim. Skoro tylko gdzie powiedzieli, że są Polakami, natychmiast znajdowali wsparcie i wspomnienie. Zacny narodzić! Polacy mają serca zdolne czuć twoją szlachetność, lecz niestety! każdy inny sposób okazania ci ich wdzięczności jest im odjęty na zawsze.

Bardzo się cieszył, gdy mimo te wszystkie przeszkody, o których wyżej wspomniałem, mogłem wyjść z domu i świeżem odetchnąć powietrzem. Lecz wkrótce taki śnieg sypać zaczął, że nie tylko drogi, ale przystępy do naszego domu zostały zawalone ogromnemi zaspami. Odmówić sobie trzeba było spacerów, nie pokazywali się więcej włościanie z wiktuałami, byliśmy prawdziwie do pożałowania. Po tym śniegu przysła odwilż. Jednego wieczora generał z towarzyszami naszymi zasiadł do partji wista, ja czytałem książkę, gdyśmy ujrzeli wchodzącego do pokoju pana Broue, oficera francuskiego, który zostawał przy generale Wrede. Przywiózł on listy od barona. Zacny ten człowiek, przerażony zamiarem Kościuszki okrażenia zatoki, spiesźnie go wyprawił z usilnem naleganiem, aby generał odstąpił od tej myśli. Zachwialiśmy się więc w naszym postanowieniu, zaniechaliśmy podróży do Torneo, stanęło na tem, że rozstrzygnięcia losu naszego oczekiwać będziemy w Ekeren. Cały dzień następny przebył z nami pan de Broue, powiedział on nam, że owe lody, któreśmy przebywali, bardzo już słabe były i że włościanie przypisywali to ciężarowi naszego pojazdu. Bardzo mało pojazdów musiało tym krajem przejeżdżać, gdy nasz takie podziwienie i ciekawość obudza. Chłopi nazywali go żartobliwie *kungsstot*, pałacem królewskim. Mieliśmy jednak ze sobą żyjącą istotę, która jeszcze dziwniejszą się zdawała. Był nią nasz murzyn. Można powiedzieć, że całe wioski zbiegały się, chcąc oglądać jego twarz hebanową. De Broue opuścił nas następującej nocy, a myśmy do zwykłego trybu życia wrócili, które Libiszewski swymi figielkami miłosenami rozweselał.

Powietrze jednak coraz się łagodniejszym stawało, środek zatoki zaczął się z lodów oczyszczać. Majtki co rana przychodzili, uważali wiatr, mierzyli grubość lodu, niejaką pocieszali nas nadzieją i wracali do swych chat. Trwało to dni kilka, gdy w niedzielę, 22 stycznia, o ósmej zrana, Karpeen nagle wpadł do nas, zalecając, abyśmy się prędko pakowali i gotowi byli do podróży. Ta dobra nowina obudziła całą naszą czynność, w godzinę byliśmy w pogotowiu. Generał usiadł w sanki, nasze tłumoki, kuchnię na trzech innych pomieszczono. Ponieważ bat (gdyż tak nasz statek nazwał

należy) był szczupły, uradzono, że pojazd zostawić musimy. Przeszliśmy pieszo odnogę morską na ćwierć mili szeroką i drapiąc się na skały, dobiliśmy się do brzegu południowo-wschodniego, gdzie nas nasza szalupa oczekiwała.

Była ona zupełnie odkryta, a tak wystawieni byliśmy na wszystkie zmiany powietrza; lody otaczały ją ze wszystkich stron i jeszcze daleko przed nami się rozciągały. Wsiedliśmy na nią z naszymi lapońskimi oficerami i tu się zaczęła praca najtrudniejsza i najdziwniejsza. Trzeba było łamać lody, które nas okalały, i łamać je nie inaczej, jak tylko naszym statkiem. Piętnastu majtków, piętnastu włościan, stojąc na lodach, trzymało w ręku liny przywiązane do masztu, do tyłu i przodu szalupy i, ciągnąc je, poruszało statek. Tak się poruszając, to w prawo, to w lewo, przerzynał się on przez lody. Ta praca niezmiernie męcząca, trwała blisko trzy godziny. Po raz pierwszy widziałem na morzu ryty tór, gdyż nasza szalupa, posuwając się powoli, zostawiała szeroką drogę po sobie i przerwę wodną wśród lodowatej przestrzeni. Dzień już zapadał, kiedyśmy się zbliżyli do otchłani płynnych. Włościanie wrócili do domu, a my z wiatrem dość pomyślnym płynąć zaczęli. Po tyłu trudach trzeba było pomyśleć o pokrzepieniu sił. Nasze majtki, wszyscy młodzi ludzie, silni, przystojni, dobrze odziani, rozłożyli swoje zapasy żywności, któremi się zaopatrzyli na dni piętnaście i które mieli zachowane w wielkich koszach. Składały się one z butelki wódki z masła, z sera w wielkiej obfitości, z szynek, z mięsa solonego z salcesonu i z chleba. Lecz co najdziwniejszego, że między temi przysmakami nie mieli ani kropli wody. Skoro tylko zanosi się na burzę, ludzie ci spieszą z powrotem do brzegów lub schronienia szukają w Singlekars, gdzie jest źródło żywej wody. Poszliśmy za przykładem naszych marynarzy i zabraliśmy się z dobrym apetytem do śniadania. Powietrze było łagodne, morze spokojne, ujrzelśmy kilka psów morskich, igrających wokół naszej szalupy. Do pół wysokości wynurzały się nad powierzchnią morską i ich wielkie i piękne oczy zatrzymywały się na nas. Wiele bardzo zwierząt znaleźć można w tych stronach. Majtki opowiadali nam, że kompanja dwudziestu lub trzydziestu samiec zbiera się czasem dla odbywania razem pologów. Wybierają zwykle wielkie szyby, jakby wyspy lodowe i tam piód składają i przez trzy tygodnie ssać mu dają. Człowiek, niszczyciel bez żadnej zgryzoty sumienia, zakłóca te ich macierzyńskie starania. Mieszkańcy wysp wielką ich liczbę biją, handlują niemi z korzyścią, wydobywają bowiem z nich tłuszcz, jedzą mięso młodych psiaków i skóry sprzedają na tornistry i obicie

kufrów. Wiatr był słaby. Musieliśmy więc zarzucić kotwicę w przystani Singlekars. Jest to mała wyspa, a raczej góra i jałowa skała na której nie się nie rodzi. Używa ona tylko schronienia podróżnym, którzy jednym ciągiem przebyć odnogi nie mogą. Rząd utrzymuje na niej dwóch wieśniaków, którym dostarcza żywności na rok cały i paszy dla dwóch krów. Zaledwie nasz statek zbliżył się do brzegu, wieśniacy obaj przybiegli na nasze spotkanie i zdawali się uszczęśliwieni naszym przybyciem. Myślę, że nadzieja zysku nie była im jedynym do radości powodem. Uwięzieni na opustoszałej skale, muszą znajdować wielką przyjemność, witając istoty do nich podobne. To uczucie okazywał szczególnie piesek, który z nimi przybiegl. Trudno jest opisać uradowanie tego biednego zwierzęcia, skakał, szczekał, pieścił się z wszystkimi, jakgdyby był ujrzał dawnych znajomych. Zdaje się, że radość, jakiej doznaje człowiek do społeczeństwa stworzony, widząc swych bliźnich, udziela się i zwierzętom, przeznaczonym do przebywania z nim. Niełatwo było przenieść generała aż do jego kwatery. Ścieżka na skałę prowadząca była licznymi utrudniona glazami. Przebyliśmy ją jednak. Zastaliśmy obie rodziny usadowione w dwóch domach, które mogły także i przybywających podróżnych pomieścić. W jednym z tych domów my się rozkwaterowali, w drugim oficerowie szwedzcy i nasi. aniołowie stróże. Gdy przyspasabiano nam wieszczę, gospodyni przygotowywała także swoją, składającą się z mięsa młodego psa morskiego, który to przysmak pożywać miał jej mąż i trzy córki. Zaproszono mnie na niego, lecz nie odważyłem się na ten specjal i tylko w rozmowie udział przyjąłem zapomocą naszego tłumacza, pana Karpeen. Ponieważ skała zupełnie jałowa, więc ci włościanie żywią się zbożem, dostarczanem przez rząd. Rybołówstwo, handel skórami i to, co od podróżnych zyskują, zapewnia im zaspokojenie innych potrzeb. Próbowali, czyli używając zamiast ziemi suszonych roślin morskich i sadząc na nich kartofle, nie doszliby do rozmnożenia tej dobroczynnej rośliny, lecz skutek nie odpowiedział staraniom. Nigdy ananasy tyle pracy nie kosztowały, ile ich kartofle. Mimo to zdaje się, iż się dobrze mają, zyskują wiele na podróżnych, którzy wstrzymani niekiedy zostają przeciwnymi wiatrami przez całe tygodnie i miesiące. Konsul duński Polin i dwaj kupcy moskiewscy kawioru przez dni jedenaście siedzieli tam na pokucie i tylko w wigilię naszego przybycia opuścili Singlekars. Spotkaliśmy byli konsula niedaleko Abo; był to młody człowiek, bardzo przystojny, lecz niezmiernie nalogowy. Zatrzymany w Singlekars, miał i dość czasu i znalazł towarzystwo, które go zachęciło do do-

godzenia swojej nieszczęśliwej skłonności. Opowiadali nam nasi gospodarze, że ci panowie szczególniejszą między sobą zawarli umowę. Moskale dostarczali Duńczykowi kawioru tyle, ile mógł zjeść, a nawzajem Duńczyk miał im tyle wódki użyzyć, ileby tylko wypić mogli. W ciągle kłótnie wyrodził się ten układ. Raz co tylko do krwawych scen nie przyszło. Jeden z Moskali odezwał się do konsula z żartem, który uważał jako bardzo zabawny i dowcipny. Duńczyk obraził się nim i uchwycił swoje pistolety. Moskal uciec chciał przez okno, lecz okna były zalepione, pozabijane. Błyska strzał, kula leci, tłucze okno i trafia w skałę pobliską. Ludność Singlekars, to jest obadwaj włościanie, żony ich i dzieci, zbiegają się, rozdzielają zapasników i dopiero strumienie gorzałki zdolały ogień ich gniewu zalać i zagasić. Slowem, w przeciagu jedenastu dni pobytu na tej wyspie wysuszyli sześć baryłek wódki; nie mogliśmy ani kropli znaleźć dla uraczenia naszych majtków. Ranek następujący przyniósł wiatr i deszcz, marynarze twierdzili, że płynąć nie można, przeciez naszem naleganiem zmuszeni, wypłynęli. Ruszyliśmy o dziewiątej. Wiatr był silny, morze wzburzone, balwany parzyły się i obryzgiwały nas słoną wodą. Przez trzy godziny bardzośmy umęczeni byli, a nawet niebezpieczeństwem zagrożeni. Trzeba było wykrecać się około Singlekars i wysp przyległych, nie tracąc ich nigdy z oka. Lecz najwięcej zastraszająceni były ogromne bryły lodu, które morze pchało ku naszej szalupie i które z trudnością omijaliśmy. Czasem tuż przepływaliśmy kolo takiej góry lodowej, że, gdybyśmy byli uderzyli o nią, statek nasz byłby się na tysiąc części rozstrzaskał. Wszystkie nasze obroty odbywały się za wspólną zgodą, nie było tam ani kapitana statku, ani przełożonego, wszyscy byli równi, dopiero gdy niebezpieczeństwo groźniejszym się stało, wybrano na dyktatora starego majtka, który, zarząd objąwszy, tak się zręcznie uwijał, wykrecał, żeśmy nakoniec na pełne morze dostali się i że o trzeciej ujrzelśmy wieżę telegrafu w Griselhamm. Wiatr spadł, uspokoiły się balwany, mieliśmy już tylko do walenia z lodami i o piątej przybyliśmy do Griselhamm, zmęczeni, zmoczeni do nitki. Dziwić się należy, że w tem miejscu, dokąd przybijają wszystkie okręty, z Finlandji płynące, nie wzniósła się choć jaka mała miejscina. Mała ludność, nieczęste związki między dwoma ładami są zapewne tego przyczyną. Jest tu jednakże bardzo dobra oberża murowana. Znaleźliśmy w niej dobre łóżka, dobry ogień i dobrą wieszę; bardzo pożądane po tylu trudach, które przeciez nie zdołały pohamować niecierpliwości jenerała. Musieliśmy w nocy z szalupy na ład wynieść wszystkie nasze tłumoki, prze-

łożyć je na pięć małych sanek, posłać po konie, czekać trzy godziny, porwać zaprzęgi, połamać dyszle i zgłodniali i przeziębli, byliśmy przymuszeni w dalszą puścić się drogę aż do najbliższej stacji. Wyznać trzeba, że w tym razie karawana ruszyła szemrząc i z wielką niechęcią, szczęściem czas był łagodny, droga dobra, a księżyc w pełni oświecał ogromne jeziora, małe gaiki i wioski gęściej rozsypane jak w Finlandji. O dziesiątej przybyliśmy do pierwszej stacji. Weszliśmy do wiejskiej chaty, była obszerna, lecz nie tak czysta jak domy finlandzkie. Młoda para zajmowała ją, gospodarz i ładna jego żona dopiero co byli zjedli wieczerzę i rozmawiają z sobą przy wielkiem ognisku, które służyło za ogień kominkowy, kuchenny i za światło pająka. Wieczeraliśmy tam i przenocowali. Nazajutrz nasz gospodarz, gospodyni i dwóch czy trzech ich przyjaciół weszło do naszej izby w chwili, w której naszą kawą zajęci byliśmy. Bardzo zdawali się ciekawi jej smaku, zaprosiliśmy ich na śniadanie, bardzo byli wdzięczni, wdali się z nami w rozmowę i powierzyli nam jeden z projektów, który stan włościan ułożył sobie przeprowadzić przez sejm przyszedł. »Sposób, — mówili oni — w jaki urządzone są poczty u nas, jest równie niesprawiedliwy, jak uciążliwy dla rolników, niszczy ich konie, naraża ich na wielką stratę czasu, a mało bardzo zysku im przynosi. Czemu u nas nie mają być poczty tak urządzone, jak w innych krajach? Czemu rząd nie ustanawia pocztmistrzów, którychby obowiązkiem było utrzymywać konie i dostarczać ich podróżnym? To prawo musi przejść, nie odstąpimy od tego«. Kraj, w którym włościanie tak śmiało rozprawiają, nie postradał wspomnienia swojej wolności i bliski jest jej odzyskania. Liczą tylko jedenaście mil z Griselhamm do Sztokholmu, przebyliśmy je w dwóch dniach. Kraj zdawał się weselszy i mniej dziki jak w Finlandji. Nie było już tam wąskiej drogi, wśród skal przeprowadzonej, lecz gościniec przerywny płaszczyny, rozweselone jeziorami, rozlewającemi się u stóp gór, po większej części urodzajnych. Tu dopiero spotkałem się z dębami i z jaworami. Wsie były gęstsze, dostrzec można było więcej dostatku i dobrego smaku w bostelach i w domach prywatnych. Jednakże na tej drodze, od brzegów morza do stolicy, nie przejeżdżasz ani przez jedno miasto lub miasteczko.

Zostawiłem generała na ostatniej stacji, a sam w małych saneczkach pospieszyłem do Sztokholmu, aby przygotować dla niego mieszkanie i opatrzyć jego wszystkie wygody. Przejeżdżałem obok Ulrichstał, zamku do królowej wdowy należącego, wznoszącego się na brzegu jeziora. Wkolo niego rozciąga się piękny ogród

i z wszystkich stron wabią uroczne widoki. Dalej wśród skał okrytych jodlami i sosnami, na brzegu przejrzystej wody, uderzył oko moje śliczny pałacyk, zalecający się równie prostotą jak dobrym smakiem i wytornością. Było to mieszkanie wiejskie Gustawa III, nazwane Haga. Stał nad krok postąpisz, a już jesteś w mieście. Łatwo było znaleźć oberżę, do której mieliśmy wysiąść, gdyż jedna jest tylko w mieście całem zaopatrzona w to wszystko, czego podróżny potrzebować może. Właścicielem jej jest pan Robinot, znany z swej postawy siedm stóp wysokości mającej, z swoich zezowatych oczu i z garnituru rubinów, któremi ozdobił swój nos i policzki. Właśnie sę był kazal odnalować i tę miniatyrę jego widziałem potem na wystawie akademji malarstwa. Mówią, że jest bardzo bogaty; wierzę temu, miarkując po niemilosiermem obdzieraniu ze skóry podróżnych, które stało się jego zwyczajem. Za obiad z czterech potraw złożony zapłaciliśmy po rixdalerze od osoby, za dwa półmiski na wieczrę policzył pół rixdalera, a 14 rixdalerów na tydzień za samo mieszkanie. W ogólności życie wiele bardzo w Sztokholmie kosztuje i w całej Szwecji; mniemam, że przypisać to należy brakowi gotówki i wielkiej mnogości asygnatów, zwanych Ricksgeld, których za 30 milionów wypuszczono w obieg podczas ostatniej wojny i po jej ukończeniu. Na tych asygnatach traciło się do 25 na sto; mówią, że Gustaw III fałszować kazal tę papierową monetę i że użył do tego barona Monck, który swoje przywiązanie do króla do tego stopnia posuwał, że się podjął tego oszustwa występnego, tak niezgodnego z jego prawością i uczuciem honoru. Dziś o dziesięć procent stoją te asygnaty niżej od nominalnej wartości i być może, iż z czasem, gdy ład i oszczędność, jakie król stara się zaprowadzić, ustalą się, papiery te coraz więcej wzbudzać będą ufności. Kasa ich i fabrykacja zostaje pod dozorem deputacji z czterech stanów państwa wybranej, lecz nie znają one innej hipoteki jak tylko wiarę publiczną. Jest tu jeszcze inna moneta papierowa, nazwana Banquogeld, która bardzo dobry ma kurs. Bo gdy Ricksgeld niema kasy, któraby ją na gotówkę wymieniała, za Banquogeld, zanesione do banku sztokholmskiego można zawsze otrzymać złoto lub srebro podług woli okaziciela. Tych papierów używają szczególniej kupcy.

Tego samego wieczora odwiedziłem biednego Potockiego¹⁾, starostę tłumackiego, bylego naszego posła do dworu szwedzkiego. Zdawać się może, iż, reprezentując dawniej nasz kraj z większą

¹⁾ *Potocki* Antoni Protazy, znany pod imieniem Prota, gorliwy patrijota i działacz społeczny na polu przemysłowo-handlowem.

wspaniałością, aniżeli dozwalał stan jego majątku, wyobraża on jeszcze nieszczęśliwy stan naszej ojczyzny swoją nędzą i poniżeniem. Z rozdartem sercem ujrzałem go. Tyle bolesnych wspomnień sta-
nęło mi na smutnej myśli. Ponieważ przybycie jenerała wiele hałasu w mieście narobiło, wyprawilem do niego posłańca z radą, aby dopiero nocną porą przybył. Cała zaś karawana, złożona z pięciu sanek, obladowanych kuframi i tłumokami, w pół godziny po nim nadjechała. Nie wiele powiem o Sztokholmie i o naszym tamże pobycie. W szczęśliwszych czasach byłbym się starał dogodzić wrodzonej mi ciekawości, oglądając wszystko, co godne widzenia, lecz temu, co ojczyznę stracił, wszystko obojętnem się staje. Król szwedzki oświadczył chęć widzenia nas, lecz przedstawiając się u dworu, albo bylibyśmy obrazili dumę naszych panów, albo bylibyśmy się musieli poddać etykiecie upokarzającej nas. Chcieliśmy i jednego i drugiego uniknąć: nie byliśmy u dworu, a tym sposobem uwolniliśmy się od obowiązku przebywania w wielkim świecie stolicy szwedzkiej.

Uzupełnienie.

Już po oddaniu tej pracy do druku, udało mi się dotrzeć do *Pism* Juljana Klaczki z lat 1849- 1851, zebranych przez Dr. Erzepkiego, a niedawno wydanych przez księgarnię św. Wojciecha w Poznaniu. Zwrócił mi na nie uwagę, wiedząc, że pracuję nad historją legendy maciejowickiej, prof. Ign. Chrzanowski, więc mu za tę koleżeńską przysługę wyrażam tutaj najszczerzą wdzięczność. Wprawdzie po przejrzaniu tych *Pism* przekonałem się, że szczegóły w nich zawarte, a dotyczące legendy maciejowickiej w niczem nie wpływają na ostateczne rezultaty niniejszej pracy, wszakże niektóre z nich, jako uzupełniające historję legendy i apokryfu, godne są tego, aby je tu dodatkowo zanotować.

A więc naprzód dowiadujemy się z tych *Pism*, że Klaczko równie bezwzględnie uwierzył w apokryficzne pismo Kościuszki, jak i Michelet, którego *Légende de Kosciuszko* przełożył na wspaniałą polszczyznę. Powtóre, że artykuł pana John Lemoine w *Journal des Débats*, który pobudził Leonarda Chodźkę do skomponowania apokryfu, był poświęcony ocenie studjów historycznych p. Alexis de Saint-Priest nad dyplomacją XVIII w., które obejmowały i epokę rozbioru Polski. Hr. de Saint-Priest, który na połowę był Francuzem, a na połowę Rosjaninem, (syn emigranta francuskiego, urodził się w Petersburgu, wychowywał w Odesie, był potem członkiem Izby parów

we Francji, ale umarł w Moskwie, matką jego była księżniczka Galicyn, a i żona, jak utrzymuje Klaczko, była »Moskiewką«, ojciec zaś ongi jednym z gubernatorów w Rosji), hr. Alexis de Saint-Priest traktował rozbiór Polski nie jako zbrodnię polityczną, ale jako konieczność historyczną, a p. John Lemoinne, na połowę Francuz, a na drugą połowę Anglik, wysoko podnosił i zachwalał w *Débat*ach te poglądy de Saint-Priesta.

Oto co pisał o tem Klaczko w Nr. 114 paryskiego *Gońca Polskiego* z dn. 14 listopada 1850. »P. John Lemoinne szczególnie nie tał się z tem zdaniem, że pan Alexis de Saint-Priest dziełem swem oddał Francji przysługę, bo ją radykalnie od wszelkiej słabostki dla Polski wyleczył i z pewną tygrysią rozkoszą powtórzył J. Lemoinne kilka razy jedyną może anekdotę, którą wie z historii polskiej, anekdotę o „*Finis Poloniae*“.

Dowiadujemy się wreszcie z tego samego artykułu Klaczki, że jeszcze przed wystąpieniem Chodźki z apokryfem, kto inny i w inny sposób starał się odeprzeć krzywdzące Polskę i Kościuszkę twierdzenie p. Lemoinne. »P. Tytus Działyński — pisze Klaczko — obywatel wielkopolski, bawiący chwilowo w Paryżu, odpisał w *Débat*ach na te nielitościwe i nierozsądne frazesa pana Lemoinne«, ale redaktor dziennika »podał odpowiedź p. Działyńskiego ostrej cenzurze i obciętej, pokaleczonej dopiero udzielił skromnego miejsca w swoim dzienniku«. Wszakże ukazała się ona w całości w tymże samym 114 numerze *Gońca Polskiego*, a w niej znajdujemy szlachetne, proste, pełne godności zaprzeczenie tendencyjnej legendy maciejowickiej: »Nieprawdziwem jest twierdzenie, aby Kościuszko miał wyrzec słowa: *Finis Poloniae*. Nie wyrzekł on nigdy słów, którychby żaden Polak nie powtórzył«.

Zacnemu mecenasowi nauki polskiej wystarczało zupełnie to męskie odparcie i zapewne ani na myśl mu nie

przyszło, aby w obronie prawdy uciekać się do kłamstwa i fałszerstwa. Ale Leonard Chodźko był człowiekiem zupełnie innego typu moralnego i dla obalenia legendy pośpieszył zaraz z apokryfem.

Wreszcie jeszcze jedno uzupełnienie albo raczej uzupełniające przypuszczenie, które już nie jest wysnute z nowowydanych pism Klaczki, ale wywołane bardzo zajmującym odczytem p. Adama Wolańskiego o regaljach polskich, w tych dniach (w początkach października 1920) wygłoszonym w Krakowie. Nie dotyczy ono wprost legendy maciejowickiej, choć zostaje z nią w pewnym związku, ale innej, bardzo rozpowszechnionej w Polsce legendy o tem, że korona i inne insygnja królewskie, złożone w skarbcu koronnym w Krakowie, nie zostały zabrane i uwiezione przez Prusaków po zajęciu przez nich Krakowa w r. 1794, ale usunięte wczas przez jakichś nieznanых patrijotów, którzy je przechowywali w jakimś nieznanem miejscu i przekazali obowiązek ich przechowywania innym, wybranym przez siebie stróżom tych skarbów. Ci zaś spełniony przez siebie obowiązek mieli potem przekazywać innym, aż póki Polska nie odzyska niepodległości.

Według wiadomości, zebranych przez p. A. Wolańskiego, legenda ta poraz pierwszy ukazuje się na widok publiczny w dwu książeczkach, wydanych współcześnie w r. 1859, a mianowicie w Lelewela *Lotnikach piśmiennictwa tułaczki polskiej* (Bruksella) i w *Żywotach narodowych z ostatnich lat stu*. (Usque ad finem) Leonarda Chodźki. (Paryż.) U Lelewela w artykule p. t.: *Korona Polski i jej królewskość* (str. 139) po dłuższym opisie kolei, przez które przechodziła korona Bolesława Chrobrego od czasów tego pierwszego króla, który się koronował, aż do ostatniego, czytamy co następuje: »Co się stało w chwili zamieszania i niedoli z szanownym pomnikiem chwały i poniżenia, z tą starą koroną Bolesława,

która przeżyła ośm wieków i gdzie się ona podziała? na to odpowiedzieć nie umiem. Jeden z pomiędzy rabusi rzeczypospolitej, to jest król pruski, zagarnął skarbiec krakowski, gdzie wszystkie korony i znaki królewskości narodowej były zachowane. Wieść głucha chciała pocieszyć strapione uczucia narodu, zapewniając, iż patrijotyczne ręce w chwili kradzieży skarbcza zdołały unieść jedną tylko koronę Bolesława, jako szanowne palladium Polski i złożyły ją w miejsce bezpieczne, pod straż ludzi wiernych swej ojczyźnie. Jednakowoż po odzyskaniu Moskwy, po wojnie Aleksandra z Napoleonem, niektóre dzienniki wymieniły pomiędzy zdobyczami, złożonemi przez cara w Moskwie, koronę Bolesława. Nikt jej nie widział w Berlinie, a w czasie podbojów Napoleona nikt nie myślał jej szukać, ani w Prusach, ani w Rosji. Niechaj spokojnie spoczywa tam, gdzie ją los zaniósł. Od lat 40 przeszło naród o niej zupełnie zapomniał i może się na zawsze bez niej obejść.

Tak pisał Lelewel o legendzie, ograniczając ją do tajnego przechowywania przez patrijotów tylko korony Chrobrego. Historyk, rozumiejący dawne znaczenie tego znaku królewskości dla Polski, ale republikanin z przekonania, a przede wszystkim zacięty przeciwnik tego stronnictwa emigracyjnego, które tytuł królewski *in partibus infidelium* rewindykowało dla ks. Adama Czartoryskiego, z pobłażającym lekceważeniem traktował »głuchą wieść« o koronie, której utajonemu istnieniu nie przypisywał w danych warunkach większego narodowego znaczenia.

Inaczej pojął i przedstawił »głuchą wieść« Leonard Chodźko. Czy on tę wieść zaczerpnął dopiero z książki Lelewela, co jest możliwe, czy też znał ją jeszcze przedtem, to rzecz drugorzędna, dość, że podał ją w sposób, który na wyobraźnię czytelnika zdolny był

działać zupełnie inaczej, niżeli sceptyczny ton Lelewela. We wspomnianych już *Żywotach narodowych*, mianowicie w żywocie Tadeusza Kościuszki (str. 27), mówiąc, jak po bitwie pod Szczekocinami Prusacy zajęli Kraków, nie spotkawszy oporu ze strony dowódców garnizonu, dodał tę krótką, ale brzemienną wrażeniem, jakie mogła wywierać na czytelniku, uwagę: »Wszakże korony i berła polskie zostały ocalone ze skarbca zamkowego i nie ukażą się aż przy zupełnej niepodległości Polski!...«

Leleweł mówił o jednej koronie, Chodźko — o »koronach i berłach polskich«; Leleweł traktował legendę jako »wieść głuchą«, która »chciała pocieszyć strapione uczucia narodu«, odmawiał jej zatem wszelkiej podstawy realnej, historycznej, Chodźko mówił o ocaleniu regaljów polskich, jako o rzeczy pewnej, niewzruszonej, mówił jak człowiek, który wie wszystko dokładnie, tylko z konieczności zachowywania tajemnicy w żadne szczegóły wchodzić nie może, i otwierał przed fantazją patrijotycznego czytelnika nieskończone pole ponętnych domysłów. To też ojcem legendy o tajemniczem przechowywaniu skarbcza koronnego, jak się ona kształtowała i rozwijała od tego czasu aż do obecnej chwili przez lat z górą sześćdziesiąt, nie Leleweł był, ale Leonard Chodźko. Widocznie tworzenie legend i apokryfów było jego specjalnością.

Ale traktując twierdzenie Chodźki o koronach i berłach polskich jako wymysł legendowy, nie rozwiązujemy jeszcze przez to zagadki, dotyczącej zniknięcia regaljów polskich. Cóż się z nimi stało? Gdzie się podziały? Zniknęły po ustąpieniu Prusaków z Krakowa, ale w Berlinie ich nie widać i sfery rządowe pruskie nigdy nie przyznawały się do ich zabrania. Więc może oficerowie pruscy przed opuszczeniem Krakowa na własną rękę, w tajemnicy przed własnym rządem, dopuścili się grabieży? Ale hipoteza

taka, wobec surowej dyscypliny, jaką się wojsko pruskie odznaczało, mało jest prawdopodobną. Natomiast dużo ma prawdopodobieństwa inna hipoteza, zostająca w ścisłym związku z legendą maciejowicką, mianowicie, że rząd pruski, zagrabiwszy regalja, a nie przyznając się do grabieży, zniszczył je, zniszczył dlatego, że bał się, aby wystawiane gdziekolwiek i kiedykolwiek na widok publiczny, nie budziły w sercach Polaków patryjotycznych wspomnień i tęsknot do utraconej niepodległości. Ta sama myśl, która mu przewodniczyła przy wytworzeniu i rozpowszechnianiu legendy o *Finis Poloniae*, mogła być główną pobudką i tego niszczycielskiego czynu. Jak tam chodziło o działanie na wyobraźnię Polaków w kierunku pogodzenia ich z utratą niepodległości, tak tu chodziło o usunięcie na zawsze z przed ich oczu tego, co na ich dusze mogło działać w kierunku przeciwnym.

Takiem jest, sędzę, najbliższe prawdy przypuszczenie, rozwiązujące zagadkę zniknięcia skarbcza koronnego. Dziś, kiedy burza wojenna, wstrząsająca całym światem, rozwalila gmach niewoli, w którym Polskę trzy potęgi rozbiorowe zamknęły i kiedy z gruzów tego gmachu wychodzi ona wolna, żywa i niepodległa, choć jeszcze za wielu opiekunów mająca, którzy ani jej dziejów, ani jej potrzeb nie rozumieją, — dziś, sędzę, naczasie jest przypatrzeć się tym dwom legendom, które się wzajem uzupełniają.



SPIS TREŚCI:

	Str.
1. Źródło legendy :	3
2. Słowacki i Mickiewicz wobec Kościuszki	8
3. Stefan Witwicki o Kościuszcze	15
4. Franciszek Paszkowski w obronie Kościuszki	20
5. Leonard Chodźko. Autentyczne pismo Kościuszki	30
6. Apokryficzne pismo Kościuszki	39
7. Juljan Niemcewicz. Jego »dziurawa« pamięć	45
8. Zapomniany pamiętnik. Rozwiązanie legendy	52
<i>Dodatek: Dziennik podróży Niemcewicza z Petersburga do Szwecji</i>	58
<i>Uzupełnienie</i>	89

ERRATA :

- Str. 35 w. 10 z dołu *zamiast* »nie do, niego« *czytaj* »nie do niego«.
- Str. 38 w. 9 z dołu *zamiast* »bravement avec bravoure« *czytaj tylko* »avec bravoure«.
- Str. 47 *zamiast* ustępu od słów: »aż do upadku powstania« (w. 5—6 z góry) do słów: »opuścić Warszawę« (w. 7—8 z góry) *należy czytać* »ale gdy w lipcu 1831 r. wysłano go w misji dyplomatycznej za granicę, skąd już nigdy nie miał wrócić do kraju«.
- Str. 89 w. 3 z góry *zamiast* »Erzepkiego« *czytaj* »Erzepkiego«.
-





10686/

7